№ 10 Warszawa, dnia 21 Lutego (5 Marca) roku 1881



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

GALATEA.

Dramat w trzech aktach, przedstawiony w Paryżu w teatrze „des Nations", d. 22 grudnia, r. z. na dochód mającego się założyć zakładu naukowego żeńskiego.

Dramat ten napisany przez współczesnego poetę greckiego Basiliadis'a, przełożony na język francuzki przez barona d'Estovinelles de Constant, przerobiony został dla sceny przez słynną z nauki i piękności panią senatorową Edmond Adam, znaną pod pseudonymem Julii Lambert. Teatr *des Nations* może pomieścić cztery tysiące widzów; pomimo jednak nadzwyczaj wysokiej ceny biletów i potrójną liczbę byłaby rozchwytała publiczność. To też w dniu przedstawienia, 22 grudnia o 2-ej po południu, sala teatru zapełniła się po brzegi wyborową, poważną, inteligentną publicznością. Widowisko rozpoczęło się iskrzącą werwą i dowcipem, przemową słynnego mówcy p. de La Pommeraye, profesora deklamacyi w konserwatoryum paryzkiem, w której wykazał wymownie konieczność zamieniania myśli i skarbów literatury między narodami dążącemi do postępu. Po nim przedstawiono jedno-aktową komedyjkę, potem nastąpiła deklamacya p. Coquelin starszego i pani Laurent, a niecierpliwie oczekiwany dramat grecki zakończył widowisko. Treść dramatu wdzięczna i zajmująca; pani Adam z niezrównanym talentem przerobiła go dla sceny a artyści odegrali wybornie — to też powodzenie było świetne, dla wielu całkiem niespodziewane.

Przenieśmy się na klasyczną ziemię Hellady, między świątynię bogów i bogiń starożytnych. Jesteśmy w Cyprze, w pałacu króla Pigmaliona. Sprzecznie ze znaną powszechnie legendą, poeta grecki zrobił Pigmaliona nie artystą lecz królem, wymagał tej zamiany dalszy ciąg dramatu. W sercu króla zbudziła się gwałtowna, namiętna miłość, dla posągu swego, dla statui, którą nazywa *moja Galatea*. Oto jak namiętność tę swoją tłomaczy wielkiemu kapłanowi, Eumelesowi.

„Pomiędzy Cypryatkami widzę tylko wyuzdane bachantki; Wenus uczyniła je bezwstydnemi; choć osłonięte niby ciężkiemi draperyami szat swoich, jednak chód ich i wyzywające ruchy stają się powodem iż zdaje mi się że je widzę zupełnie obnażone, gdy tymczasem moja Galatea tak lekką okryta zasłoną, budzi tylko myśl najczystszej miłości.

Wielki kapłan odpowiada: Znieważasz bogów ubóstwiając dzieło człowieka.

Ale Pigmalion nie słucha przedstawień kapłana.

„Uwielbiając moją Galatę, ubóstwiam tem samem bogów i ich idealną doskonałość. Któż bowiem daje artystom natchnienie, kto budzi w nich poczucie i pojęcie najdoskonalszego piękna, jeźli nie sam Apollo? Zatem wznieś do niego korne modły, wzywając aby posąg ten marmurowy zadrgał życiem w mojem objęciu."

Eumeles odmawia, nie chcąc dopuścić się podobnej bezbożności.

„Wyzywasz zemstę Apollina, ale strzeż się!... Czyż sądzisz, nierozumny śmiertelniku, że Galatea cię kocha? A jeźli żyć będzie nienawidząc ludzi jak Artemiza?...

Po chwili dodaje z taką mocą, jak wielką jest myśl zawarta w jego słowach:

„Co się rodzi, zachowuje podobieństwo swego pochodzenia: syn podobny jest do ojca, człowiek do swego plemienia, ludy do swych przodków... to co wyrodziłoby się z marmuru ożywionego przez bogów, może żyłoby życiem ciała, ale możesz-że wiedzieć, Pigmalionie, czy jak Pandora, bogowie nie nadaliby Galatei mocy zgubnej, czy nie wywierałaby najszkodliwszego wpływu?... Kobieta Galatea byłaby straszną! Może ciało jej miałoby pozór życia, ale dusza jej, nie pochodząca ani od ludzi ani od bogów ale wyrodzona z marmuru, byłaby równie twardą i zimną jak marmur... Strzeż się zemsty bogów!..."

Z tych krótkich przytoczeń widzimy z jakim talentem autor uwydatnia ideę sztuki uprzedzając zarazem jakie z niej wynikną następstwa. Wyraźnie, z naciskiem prawie, maluje uczucia, aby w następstwie mógł prędko rozwinąć akcyę i działalność osób, nie potrzebując zatrzymywać się co chwila dla wyjaśnienia powodów ich postępowania.

Podziwiać trzeba w tym dramacie nieustanny ruch, szybkie przeprowadzanie założenia; jest to jakby rydwan spiżowy, ciskający gromy za każdym obrotem koła.

W drugim akcie widzimy Pigmaliona klęczącego przed posągiem. Nie uląkł się gróźb kapłana; naprzemian błaga i złorzeczy bogom nieczułym na jego prośby. Aż nareszcie spełnia się zgubna i upragniona tajemnica; gorące zaklinania człowieka rozpromieniły marmur, Galatea się ożywia, porusza i rzuca się w objęcia Pigmaliona. Żyć będzie, ale zgodnie z przepowiednią kapłana, pierś jej jest z ciała, lecz dusza z marmuru.

„Oddycham, mówię, żyję!... mówi, — ale albo marmur cięży mi jeszcze i ziębi lodem — lub też życie jest tak zimne i ciężkie do zniesienia!"

Jakże trafne jest to pierwsze odezwanie się posągu powołanego do życia; poeta umiał je natchnąć prawie kamiennym smutkiem.

Uszczęśliwiony Pigmalion, błogosławi bogów i Galateę pojmuje za żonę. Ale ma on brata, Rennosa, który po długiej tułaczce po obcych krajach powraca do rodzinnej ziemi. Charakter jego zupełnie odmienny od charakteru Pigmaliona; to nie poeta i marzyciel, ale chyba skała zamieniona w człowieka. Galatea, jak wiemy, z marmuru sta-

ła się kobietą — skała i marmur są nader blizko spokrewnione z sobą, mają więc jakąś tajemniczą mowę, mocą której porozumiewają się od pierwszego wejrzenia.

Zakochali się też w sobie. Ale dwaj bracia zniewoleni są oddalić się dla prowadzenia wojny z Kreteńczykami, a Galatea pozostaje sama, podległa oddziaływaniu niewidzialnego robotnika urabiającego duszę jej do zbrodni, jak dawniej snycerz rzeźbił jej marmur dla chwały, sztuki i piękna.

Skończyła się wojna z Kreteńczykami; dwaj bracia okryli się chwałą zwycięzców, ale Rennos powraca pierwszy. Dotąd on i Galatea kochali się w milczeniu, nie zdradzając słowami swojej miłości, ale na widok zwycięzkiego bohatera, Galatea nie hamuje swego uniesienia, rzuca się w jego objęcia z dzikim prawie krzykiem i woła w szale gwałtownej namiętności:

„Rennos, oddaj mi oczy twoje, które mnie tak palą, niech się napawam płonącym w nich ogniem!"

Rennos, kochanek dziki, godzien takiej Galatei, odpowiada z równie niepohamowaną namiętnością:

„Kocham cię! a oszalały rozum ucieka z mej głowy. Twoje pocałunki zrobiły mnie złodziejem. Pigmalion jest we krwi i w piersi mojej, widzi zdradę moją... gdybym cię nie kochał jak urzeczony tygrys, zabiłbym cię na miejscu."

Ale Galatea nie poprzestaje na wiarołomstwie, pragnie bratobójczej zbrodni. Zgubnemi pieszczotami, zdradliwem podżeganiem budzi myśl zbrodni w umyśle Rennosa; oszalały namiętnością, odpowiada: „Pigmalion zginie!"

Tu następuje scena która szalony zapał wzbudziła w publiczności.

Obaj bracia są na scenie. Rennos postanowił zabić brata, pragnie przecież upozorować zabójstwo i ucieka się do podstępu.

„Czekałem, pragnąc abyś bez dopominania się wymierzył mi sprawiedliwość. Zostałem wygnany jak zdrajca, wypędzony jak niewolnik z domu rodzinnego, a przecież miałem prawo do współudziału we władzy, do objęcia połowy potężnego państwa pozostałego po ojcu. A jednak gdy ty dumny i potężny żyłeś otoczony przepychem i wszelkiemi uciechami, jakich kosztować można na ziemi, Rennos, brat twój, tułał się nieszczęśliwy, nieznany... Dziś ten wyklęty wygnaniec, cofający się dotąd przed obawą wojny domowej, powraca nareszcie i domaga się połowy spadku ojczystego, połowy władzy królewskiej!

PIGMALION. Bracie, dla czegóż z taką goryczą przemawiasz do mnie? Czyż jestem tak straszny i okrutny? Porozumiejmy się, Rennosie. Czy pragniesz zostać dowódzcą wojsk moich? Czy chcesz...

RENNOS. Chcę aby rozdzielić Cypr na dwie równe części, i aby każdy z nas panował nad swoją.

PIGMALION. Stanie się jak żądasz, bracie moj. Jestżeś zadowolniony?

RENNOS. Nie. Ty zmarnowałeś już ogromne bogactwa, abym mógł odzyskać co mnie z nich dostać się było powinno, potrzebuję objąć w posiadanie najurodzajniejsze grunta, najobronniejsze miasta.

PIGMALION. Zabierz je więc, zabierz wszystkie bogactwa Cypru, wszystko, wszystko! Wyrzuty sumienia, dręczące mnie podczas twego wygnania, dały mi poznać że miłość brata więcej warta niż wszelkie dobra tego świata.

RENNOS. Cypr jest mały i jeden tylko tron posiada, któż na nim zasiądzie, kto panować będzie? Jesteś rycerzem, stoczmy więc nieubłaganą walkę. Nie chcę podejściem odbierać ci życia — niech bogowie los nas rozstrzygną — który zwycięży, zostanie królem.

PIGMALION. Ugodź więc w pierś moją, bo Pigmalion nigdy nie podniesie ręki przeciw bratu. Wiem z doświadczenia że tron nie wynagrodzi utraty brata. W imię boga przysięg zrzekam się od tej chwili tronu ojca mego, uznaję i ogłaszam cię królem Cypru! Zamiast bratobójczej broni, ujmij berło królewskie, mnie miłość Galatei mojej za tron, za świat cały stanie!..."

Tak wielka wzniosłość duszy pokonała Rennosa; rzuca się z płaczem w objęcia brata; Pigmalion zamiast jakichś wyrzutów, rzekł tylko z rozrzewnieniem:

„Powiedz, Rennosie, gdybyś mnie był zabił, czy łzy jakie wylewałbyś nad śmiercią moją, byłyby tak słodkie?

Rennos, nie odpowiadając ucieka oszalały, daremnie Pigmalion przyzywa go wołając:

„Rennosie! Rennosie! uciekasz odemnie jak zbrodzień!...

Cała ta scena, odegrana wybornie, jest tak piękna i wzniosła, iż Corneille mógłby się nią chlubić; obecnie prawie podobnych nie spotykamy na scenie. Zdawałoby się, że po niej ostatni akt mniejsze już budzić będzie zajęcie, a jednak poeta stworzył scenę utrzymującą dramat na równej podniosłości.

Galatea oczekuje niecierpliwie, kto, Rennos czy Pigmalion powróci zwycięzcą. Nie może tego przewidzieć i tylko postanawia odebrać sobie życie, jeźli Rennos zostanie pokonany. Ten żywy posąg rządzi się tylko żądzami namiętności, nie ma poczucia cnoty ani obowiązku; nie dba ani o czyjeś, ani o swoje życie; jedynem jego prawem porywy dzikiej miłości, nie czuje nawet jak jest występną; samobójstwo czy zabójstwo wydaje jej się tylko prostym wynikiem fatalności.

Nie Pigmalion, Rennos powrócił.

Szlachetność brata oddziała zbawiennie na duszę młodego barbarzyńcy; dotąd był wspólnikiem, obecnie pragnie zostać sędzią Galatei, i z przerażającym spokojem i zimną krwią odgrywa tę scenę tragicznej komedyi.

RENNOS. Galateo, Pigmalion tak cię kochał i żył tylko dla ciebie. Zrzekam się, rzekł, Cypru, tronu, zrzekam się świata całego; miłość mojej Galatei za wszystko mi stanie.

GALATEA. Umiał kochać, umarł jak wierny kochanek.

RENNOS. Chciał żyć choć tyle, aby raz jeszcze zobaczyć ciebie... byłem bez litości.

GALATEA. Myślałeś o mnie.

RENNOS. Milcz, milcz Galateo!... On cię tak kochał!... A! kamień więcej ma czucia od ciebie!... Jakąż byłoby to ulgą dla mego zbrodniczego serca, gdybym wiedział, że wzrusza cię choć trochę ohydne morderstwo, gdybyś choć kilka łez poświęciła pamięci mego brata!...

GALATEA. Jakto, więc więcej obchodzi cię zabity, niż żyjąca Galatea? Patrz, tam oto bożek dnia unosi się między cieniem a światłem; kwiaty śpiewają hymn jutrzenki, barwne ich kielichy wyłaniają się z pod czarnej zasłony nocy. W tej chwili przyroda cała i wszyscy ludzie uśmiechają się do szczęścia, do życia — sam tylko Rennos jest smutny i nieszczęśliwy.

RENNOS. Galateo, czyliż czerwone promienie jutrzenki nie przypomną ci nigdy przelanej krwi Pigmaliona?... Czy nigdy, choćby raz w życiu, nie zapragniesz aby Pigmalion zbudził się ze snu śmiertelnego?...

GALATEA. Nigdy!

Ta lodowata, nieubłagana obojętność dreszczem przerażenia przejmuje Rennosa; jednak wystawia jeszcze Galateę na ostatnią próbę.

RENNOS. Trzeba będzie niezwłocznie oddać szpadę królewską, chcę oddać ją bez zmazy. Jest cała krwią zbroczona, gdyż aż po rękojeść zatopiłem ją w sercu Pigmaliona. Przynieś wody, trzeba obmyć klingę.

GALATEA. Pochwa pokrywa ślady krwi... jutro oczyścimy szpadę, a teraz chodź w moje objęcia, złóż na piersiach moich ociężałą głowę, orzeźwią cię gorące moje pocałunki.

RENNOS. Trzeba przedewszystkiem zatrzéć ślady krwi, przynieś oczyszczającej wody...

GALATEA. Rennosie, gdybym była wiedziała że tak lękasz się zbrodni, byłabym własną ręką zadała śmierć Pigmalionowi.

RENNOS. Giń zbrodniarko! Jowiszu ugodź ją za pośrednictwem mej ręki!

I ostrze szpady zatopił w jej sercu.

Galatea wydała straszny krzyk; pada mówiąc:

„Rennosie!... on mnie nie kochał!...

Na krzyk królowej, wpada Pigmalion i wielki kapłan, i są świadkami wymierzonej kary. Eumeles, jak chór dramatu Sofoklesa, uwydatnia w krótkich słowach przewodnią myśl poety.

„Królu, biada temu, kto nie podlega prawom nieśmiertelnym, przewyższającym nawet prawa Jowisza. Powtarzam, dusza Galatei nie zrodzona z ludzi ale z marmuru, musiała przejąć jego twardość i nieczułość. To nie wiarołomna żona króla Cypru zabitą została przez Rennosa, nie — brat Pigmaliona rozbił tylko posąg."

Rozwiązanie to uświęciło tryumf pierwszych aktów; sala zatrzęsła się od oklasków, odnoszących się tak do nieznanego poety jak i do tej co obcy utwór umiała tak doskonale zastosować do sceny francuzkiej. Pani Adam wydarła z zapomnienia zmarłego poetę, Basiliadis pozyskał zasłużoną sławę i uznanie. Sztuka ma zapewnione powodzenie.

Jeden ze znakomitych sprawozdawców paryzkich, tak kończy sprawozdanie swoje o pierwszem przedstawieniu „Galatei".

Parę lat temu pewien poeta dramatyczny, dobry mój przyjaciel, zwierzył mi się, iż często niepokoi go myśl, jakiej sławy używać będzie po śmierci. „Jak też wtedy sądzić będą moje utwory, jakie wrażenie wywierać one będą?" Cóż cię to obchodzi, kiedy tego ani wiedzieć, ani czuć nie będziesz? odpowiedziałem. „Mylisz się, odrzekł; zmarli poeci słyszą jak sądzą ich życie i ich dzieła." Rozśmiałem się, nie podzielając jego złudzeń. Teraz jednak, patrząc na świetne powodzenie „Galatei" i na pośmiertny tryumf Basiliadisa, przypomniałem sobie słowa mego przyjaciela. Kto wie, może twórca dramatu był niewidzialnie obecny między nami, może dzięki duchom opiekuńczym przedwcześnie zmarłych poetów, słyszał te szalone oklaski wywołane pięknością jego utworu; może ten syn Aten, odradzał się synem Paryża i nie żałował dawnej ojczyzny, skoro w nowej tak umiano go pojąć i ocenić.

Pigmaliona grał znakomity Mounet-Sully, Rennosa, brat jego Paweł Mounet, Galateę, panna Baretta. Wszystkie sprawozdania oddają artystom zasłużone pochwały.

Z dawnych wspomnień.

III.

O PIERWSZĄ SCHADZKĘ.

Więc dobrze? — jutro? —
Pod cichym jaworem,
Gdzie na konarach szemrzą duże liście...
Gdzie klomby z kwiatów barwią się wzorzyście
Przed ławą z darni... O zmroku! — wieczorem!...

Ach! jabym miejsce chciał wybrać dla ciebie
Jakieś... zupełnie osobliwsze! nowe!
Gdziebyśmy mieli na naszą rozmowę
Już wszystkie dziwy, jakie...
— Gdzieś, na niebie!

Ot tak — na jasnym tym może obłoku,
Co — patrz — w tej chwili po nad nami leci,
Drogą do słońca! promienny! — i świeci,
Jak rydwan słońca — samem złotem — w oku!

Przed wóz — bym taki wprzągł zefiry żwawo,
Co kłócą gajów sen, o nocnej dobie,
I, — w moc ich dając nasze dusze obie, —
Już niósłbym cię tak na swoją wyprawę!

Lecz — gdzież ja wszystko to wezmę, królewno,
Czegoś ty warta!?...
Więc — — pod jawor cichy!...
Na darń tę miękką!... Gdzie kwiatów kielichy,
Zwilżone rosą — — kwiaty lubisz pewno? — —

Tam! — utajeni!... o zmroku! — wieczorem! —
Gdy noc już pierwszą swą gwiazdkę rospali,
I miesiąc biały w lazurowej dali,
Błyśnie swą tarczą...
tam! — pod tym jaworem!...

Dobrze?...
I — żebyś nie wątpiła wcale,
Że ja tę schadzkę przyjmuję godziwie, —
To wezmę z sobą — — Ach, nie wiem prawdziwie,
Jak to powiedzieć?... Rozśmiejesz się!... Ale — —

Patrz, ten tu krzyżyk!... Dała mi go matka
Przed śmiercią, — mówiąc:
„Gdy duch ci omroczy
Moc złego, synu! weź przed błędne oczy
Ten znak — do ust go swych ponieś zukradka.

I wspomnij o mnie!...”
A krzyż ten też ze mną
Będzie tam jutro!... Więc dobrej bądź myśli!
Więc nie wątp!... Zrób też, byśmy razem przyszli
Bym chwili nawet nie stracił daremno!

Szepnęłaś: „dobrze”!...
O!... jakżem szczęśliwy!
Zda mi się kwiaty lecą na mnie z nieba!
Nic mi nie trzeba!... tylko — tego trzeba,
Bym, — mrąc tak z szczęścia, — czuł się wie-
[cznie... żywy!

Królewno moja!... Na naszą gawędę
Ja ci z tych blasków taką piosnkę złożę, —
Że zejdą na nią w dół anioły boże,
By jej posłuchać...
— Więc będziesz tam?
Ona.
— Będę...
Bogumił Aspis.

NIESZCZĘŚCIA PANNY ANNY.

OBRAZEK

przez

Waleryą Marrené.

(Dokończenie).

Myśl jej nie zatrzymała się nawet, nad możliwością tej ostatniej alternatywy. Ona tak dumna, ona tak szlachetna, miałaż być zmuszoną poślubić człowieka którym gardziła. Nie, to przynajmniej było niepodobieństwem. A jednak rozumiała że ciążyła nad nią wola żelazna przebiegłego człowieka, nie przebierającego w środkach, nie cofającego się przed niczem, i czuła że jeśli nie wyratuje jej jakaś pomoc niespodziana, ona sama oprzéć się nie potrafi jego podstępom, jego groźbom, konieczności wreszcie jaką dla niej wytworzył.

Z rękami rozpacznie załamanemi nad głową, przechadzała się gorączkowym krokiem po szczupłej przestrzeni pokoju, jakby szukając wyjścia jakiego z położenia w które była oplątana, gdy ukazała się panna Balbina i cofnęła przerażona na jej widok.

Każde ludzkie spojrzenie było w tej chwili męczarnią dla Anny, w pośród wzburzenia w jakiem się znajdowała, zapomniała zamknąć drzwi na klucz, teraz więc widok starej towarzyszki, doprowadził ją do ostateczności.

— No cóż? Czego chcesz cociu? Czemu patrzysz na mnie w ten sposób? spytała szorstko.

Zamiast odpowiedzi, stara panna poprowadziła ją przed lustro, a jedno spojrzenie w nie, wytłomaczyło jej wyraz twarzy Balbiny: ona sama ulękła się własnej postaci. Cera jej z białej stała się trupio bladą, z tem żółtem odcieniem, na skroniach, około ust i oczów, który świadczy o moralnem cierpieniu, oczy zapadłe nagle błyszczały gorączką, zbielałe wargi drgały nerwowym ruchem.

— Tyś chora! zawołała stara panna, musisz być chora.

— Chora, powtórzyła Anna, wybuchając spazmatycznym płaczem, oh! gdybym umarła, gdybym mogła umrzéć.

Był namiętny odgłos w tych słowach, na którem omylić się było niepodobna. Widocznie spotkało ją niespodziane nieszczęscie.

— Cóż się stało tak nagle, zawołała, czyś odebrała wiadomość jaką, może rodzice...

Zrobiła głową znak przeczący. Wszakże to proste pytanie zwróciło jej myśl w inną stronę i zapomniała że były na świecie istoty u których rady i pomocy szukać jeszcze mogła.

— Ciociu! zawołała, muszę jechać do rodziców, jechać natychmiast.

Panna Balbina była starą i doświadczoną, a jakkolwiek doświadczenie to obracało się w szczupłem kółku towarzyskiem i szczuplejszym jeszcze zakresie umysłowości, przecież stanowiło zawsze pewien zasób moralny. Nietrudno jej więc było kombinując straszną zmianę zaszłą w Annie, z tym nagłym projektem zrozumiéć jego powód.

— I ty myślisz, spytała, że...

— Ciociu, przerwała gorączkowo, nie odbieraj mi nadziei, bo inaczej...

— Cóż inaczej!

— Inaczej nie pozostaje mi jak umrzéć.

I mówiąc to wybuchnęła nowem łkaniem.

Długi czas upłynął, zanim stara panna z urywanych słów Anny, zrozumiała tyle przynajmniej że potrzebną jej była znaczna suma, potrzebną nieodzownie. Wiadomość ta przeraziła ją więcej jeszcze.

— Ja muszę jechać, powtarzała Anna, usiłując zapowiedzić jakiś ład w rozpierzchłych myślach.

Panna Balbina milczała zafrasowana. Widocznie nie pokładała wielkich nadziei, w rodzicach Anny, ale nie chciała pogrążać jej w większej jeszcze rozpaczy udzieleniem swoich zapatrywań. Wśród zafrasowania jej jednak, znać było jakieś myśli czy zamiary z których także zwierzać się nie uważała za stosowne. Ale gdy w godzinę później Anna bryczką najętą wyjeżdżała do Lubowy, stara kobieta szepnęła jej tajemniczo:

— Nie rozpaczaj, choćbyś nic nie uzyskała nie rozpaczaj, ha, kto wie, gdybyś była rozsądną może jabym ci radę znalazła.

Co chciała przez to powiedzieć, Anna nie zapytała, nie była w stanie rozważać, działała jakby przez sen, gnana więcej potrzebą przedsięwzięcia czegoś, niż rzeczywistą nadzieją.

Z razu wmamiała ją w siebie, myślała że skoro idzie o los całego jej życia i więcej jeszcze o dobrą sławę, rodzice którzy ją przecież kochają, nie będą się wahać uczynić choćby największej ofiary aby ją z tak okropnego położenia wybawić.

W miarę jednak jak oddalała się od miasta i spoglądała na zbożowe łany niewszędzie przedstawiające się świetnie, na konie i woły, pracujące w polu w wielu miejscach wychudłe, przychodziły jej inne obawy. Rodzice jej posiadali jedną tylko wioskę a dzieci dużo, wioska ta nie była bez długu a związać brzeg z brzegiem, okazywało się często zadaniem niepodobnem do spełnienia.

Była to właśnie wiosna. Ziemia i drzewa przystrajały się szatą młodej zieleni. W głębi parowów które tu i owdzie przerzynały drogę, szumiały potoki i wydostawszy się na szerszą przestrzeń świeciły wśród łąk rozkwitłych jak srebrna szarfa rzucona na różnobarwny kobierzec, upstrzony mozajką jaskrów, dzwońców i storczyków plamistych, których amarantowe kiście wznosiły się w niższych miejscach, kąpiąc w wodzie łodygi, owinięte jasnobłękitną falą niezapominajek.

Droga biegła kręto po wzgórzach, dolinach i wąwozach, pośród wiosek rozrzuconych po nich malowniczo. Gdzieniegdzie pomiędzy drzewami widać było ściany białego dworu, błyszczczały szyby okien lub w otwartych powiewały z podmuchem wiatru białe firanki.

Powietrze pełne było woni blasków i tego ożywczego wesela, jakiem napełnia zwykle istność całą błękit nieba w dzień słoneczny. To też ludzie pracujący około okopywania kartofli lub pielenia buraków, fornale harcujący z bronami, śpiewali, gwarzyli i śmieli się głośno.

Anna odwykła od tych obrazów w pośród których wzrosła i wychowała; spoglądała na nie z nowem zajęciem. Zamkniętej długo w ciasnych murach miasta, zajętej gorączkową pracą, wiosna w całym rozkwicie wiejskiej natury, zdawała się podwójnie uroczą, to też oddychała pełną piersią balsamicznem powietrzem, i zapatrzona w świat

otaczający zapominała na chwilę o tem co ją tak srodze dręczyło.

Aż dopiero gdy ujrzała zdaleka ocieniony lipami i drzewami sadu nizki dworek rodzinny, serce jej uderzyło gwałtownie trwogą i niepokojem; czy znajdzie tutaj pomoc skuteczną? Czy to czego żądała nie było niepodobieństwem, bo suma jakiej potrzebowała była tak wielką stosownie do środków.

Rodzina cała zgromadzona była przed domem, matka pilnowała grządek kwiatowych pod oknami, ojciec koło stajni wydawał rozkazy, na ganku babcia robiła pończochę, siostra układała sobie krezę do sukni, a młodsze rodzeństwo biegało, pomagało ogrodnikowi sadzącemu kwiatki.

Tu także pełno było ruchu i gwaru. Poznano ją zaraz i ojciec skierował się ku gankowi, a dzieci przywykłe do małych podarków, które przywoziła im starsza siostra, krzycząc z radości otoczyły jej bryczkę.

Ona podniosła się z siedzenia, spojrzała na wieniec czerstwych, uśmiechnionych i przyjaznych twarzy, które ją otaczały, na ojca podającego jej rękę, oparła się na niej, zeskoczyła na ziemię i zamiast wzajemnego powitania, rozpłakała się serdecznie.

Wszyscy oniemieli nie wiedząc czemu przypisać ten nagły objaw bólu. Dzieci tylko wołały zdziwione:

— Co to jest? Co ci się stało Andziu?

Anna nie była w stanie odpowiedzieć. Matka wzięła ją za ręce, uprowadziła w głąb domu i starała się uspokoić pieszczotami, zanim dowiedziała się o przyczynie łez. Ojciec sposępniał, zrozumiał bowiem że ten przyjazd nagły i te łzy nie wróżyły nic dobrego.

Wszyscy zostali jakby powarzeni, nikt nie powrócił do przerwanych zatrudnień, nawet dzieci zaprzestały zabawy, tylko ogrodnik sadził kwiaty bez żadnego na teraz dozoru, a ojciec przechadzał się wielkiemi krokami po ganku, jak to zwykł był czynic w chwilach niepokoju zmartwienia lub gniewu.

Obecni znali ten symptomat i w milczeniu przyglądali się jedni drugim, nie śmiejąc odezwać się z żadnem przypuszczeniem.

On sam nie wchodził do domu, jak gdyby lękał się coś bardzo złego usłyszeć lub chciał zostawić matce wybadanie córki.

Trwało to dość długo, tak iż nawet dzieci zapomniały o swojej ciekawości i powróciły zwolna do dawniejszej zabawy, gdy matka ukazała się na ganku.

Wszystkie oczy zwróciły się na nią, miała powieki załzawione, zbliżyła się do męża.

— Andzia chce z tobą mówić, wyrzekła.

— Nie odpowiedział nic, tylko skierował się ku drzwiom wchodowym.

— Adamie, dodała błagalnym głosem, kładąc rękę na jego ramieniu, bądź dobrym dla niej.

— Alboż byłem kiedy złym dla dzieci moich, zawołał tknięty tem słowem.

— Nie, nie! zawołała z przejęciem, ale widzisz, ona taka biedna.

Był już we drzwiach, szła za nim z niespokojnym wyrazem twarzy.

— Żądaniu jej zadość uczynić nie możesz, wiem o tem, ale przynajmniej doradź, uspokój, dopomóż.

Wzruszył ramionami z chmurnym wyrazem, Anna nie poszła drogą jaką on pragnął jaka otwierała się przed nią, łatwa i spokojna, jeśli spotkała się z zawodem i troską cóż mógł na to poradzić?

Anna siedziała w pokoju matki, z ramionami spuszczonemi ku ziemi, a oczy jej trwożne i niespokojne zatrzymały się na wchodzącym ojcu.

Wyraz jego twarzy był poważny, ale nie surowy.

— Andziu, wyrzekł siadając naprzeciwko niej, spotkało cię jakieś nieszczęście, widzę to, ha! prawdę mówiąc spodziewałem się tego. Życie jest trudem a kobieta która opuszcza dom rodzicielski nie dla mężowskiego domu ale dla jakichś wymarzonych przyczyn, naraża się na tysiączne przykrości i podejrzenia. Przepowiadałem ci to gdy wyjeżdżałaś do Warszawy, przepowiadałem gdy zakładałaś twój sklep. Dobrze uczyniłaś jednak że w kłopotach i zmartwieniach zwracasz się do nas, zrobię co będę mógł dla ciebie ale pod warunkiem, iż raz skończysz te wszystkie dziecińswa, przekonałaś się zapewne że one do niczego nie prowadzą, tylko do strat i obmowy ludzkiej.

W każdym innym razie, warunek ten byłaby przyjęła z oburzeniem, protestowałaby wszystkiemi siłami przeciw sądom ojcowskim, teraz jednak nie miała na to ani sił, ani woli. Przeciwnie, myśl uwolnienia się z tych obowiązków, do których rwała się tak gwałtownie, była dla niej myślą wybawienia. Sprawie której służyła zaszkodziła sama, najwięcej własną nieudolnością, ona co chciała być przykładem pracy, wytrwania i rozumnej samodzielności.

Nie była to najmniejsza gorycz tej chwili. Słuchała ojca w milczeniu, bo i cóż odpowiedzieć mu mogła, ona co teraz przybyła szukać u niego rady i pomocy. A jednak pomimo to nie czuła się przekonaną, mogła zaniechać wprowadzenia w czyn swoich myśli ale nigdy zmienić je lub potępić to w co wierzyła, czuła iż wina leżała w niej samej: w wychowaniu jakie odebrała, w nawyknieniach które zaciężyły nad nią jak złowrogie fatum, ale nie w tych myślach i zamiarach, nie czyniła idei odpowiedzialnej za własne błędy.

— A teraz mów otwarcie Andziu, dodał ojciec, co cię spotkało.

Wytłomaczyła mu jak umiała najlepiej swoje położenie. Słuchał ją z brwią ściągniętą.

— Widzisz, wyrzekł gdy skończyła, tak zawsze się dzieje kiedy się nie słucha rad starszych i doświadczonych. Takie rzeczy nie dla kobiety.

Chciała zaprotestować w imię sprawiedliwości, ale nie miała siły; zresztą czuła że to byłoby zupełnie daremnem. Ludzie widzą zwyczajnie to tylko co widzieć pragną i we wszystkiem lubią upatrywać argumenta na poparcie swoich przekonań, a niepowodzenie było po wszystkie czasy najbardziej stanowczym argumentem.

— Więc cóż ja teraz mam uczynić mój ojcze, zawołała patrząc na niego, jak się patrzy na ostatnią nadzieję.

— Milczał przez czas jakiś, walczyły w nim dwa sprzeczne uczucia. Z jednej strony miłość rodzicielska cierpiała nad położeniem Anny, z drugiej było niewyraźne, nieokreślone zadowolenie że przepowiednie jego się spełniły. Jednakże położenie jej było tak groźne, iż wymagało koniecznie pomocy.

— Wszystko to, wyrzekł w końcu, przewidziałem kiedyś puszczała się na to szaleństwo. Teraz powiedz sama co mogę uczynić.

— Gdyby można spłacić tę nieszczęsną summę pracowałabym całe życie...

Przerwał jej skinieniem ręki i uśmiechem niedowierzania, a ruch ten był tak wymowny iż ukryła twarz w dłoniach i nowe łzy puściły się z jej oczów.

Była niezmiernie znękana i biedna. Ta wątła postać złamana cierpieniem wzruszyła go.

— Moje biedne dziecko, wyrzekł łagodnie, wzięłaś się do nie swojej rzeczy a teraz pokutujesz.

Słowa te, choć łagodne. drażniły ją niewypowiedzianie, przecież czuła że ojciec miał słuszność ze swego stanowiska, że był nawet w prawie i obowiązku wypowiedzieć je, że był to zresztą wstęp konieczny do jakiejbądź skutecznej rady lub pomocy.

— Wiesz dobrze iż nie jestem bogaty, summy której potrzebujesz nie mam.

Wiedziała o tem rzeczywiście, przecież kiedy w przeszłym roku brat jej wpadł nieopatrznie w złe towarzystwo, narobił długów i ścigany był przez wierzycieli, ojciec poruszył wszystkie sprężyny i nie wahał się narazić własnego mienia aby mu przyjść z pomocą. To też podniosła na niego oczy błagająco.

— Ratowałeś mojego brata, szepnęła, czyż ja nie jestem także dzieckiem twojem, nie mam prawa odwołać się do twojej miłości?

— To zupełnie co innego, zawołał, nie zważając na głębokie znaczenie prośby wyrażonej w ten sposób: brat twój reprezentuje nazwisko, stanowi nadzieję i przyszłość rodziny, w zetknięciu ze światem mógł zbłądzić.

— A ja! ja! zawołała łamiąc ręce.

— Ty Anno wyłamałaś się ze swojej kolei wbrew obyczajom i woli mojej, sama uparcie szukałaś niebezpieczeństwa, żal mi cię, ale niepodobna mi porównywać twego położenia do położenia brata, ani robić dla ciebie ofiar jakie robiłem dla niego.

— Mój ojcze, przerwała, przez miłosierdzie powiedz mi że nie możesz pod żadnym względem przyjść mi w pomoc, tylko nie mów mi tego że nie chcesz, bo ja tej myśli znieść nie jestem w stanie.

Popatrzał na nią ze smutną powagą.

— Moje biedne dziecko, wyrzekł, chciałbym żebyś dobrze zrozumiała i oceniła swoje własne położenie, by raz rozproszyły się twoje złudzenia, żebyś wiedziała że świat się z ciebie śmieje, że cię nazywa szaloną, i mnie nazwałby równie szalonym żebym ci dopomagał.

Słuchała go ponuro.

— Więc nie pozostaje mi jak ginąć, wyrzekła urywanym głosem, przyjąć ohydne propozycye pana Ernesta, albo pociągnąć w przepaść bankructwa tych wszystkich którzy mi zawierzyli. Czy nie doradzisz mi przynajmniej ojcze co mi wybrać wypada?

— O propozycyi buchaltera mowy być nie może; sądzę iż rozumiesz to równie dobrze jak ja, nie czynię ci tej krzywdy bym o tem powątpiewał.

— On postąpił niegodnie, zawołała.

— Ludzie zawsze oszukują gdy mają ku temu sposobność, odparł filozoficznie ojciec, nie miałaś przecież żadnego powodu zaufać mu zupełnie jak to uczyniłaś.

Mogła zapytać dlaczego nie powiedziano jej nigdy tej smutnej prawdy, aż dopóki nie przekonała się o niej własnym kosztem. Ale nie uczyniła tego. To byłoby daremne.

— A teraz, zawołała, tylko on ma w swojem ręku mój los i los tych którzy mi zawierzyli.

— Ci, co zawierzyli pracy kobiecej i kobiecemu przedsiębierstwu, zasłużyli na straty, ubolewać nad nimi nie będą.

Spuściła głowę w milczeniu. Czuła się zhańbioną bo przecież w niej równie jak w bracie wyrabiano poczucie uczciwości, ona także wzrastała w przekonaniu, że słowo dane jest świętością, że grosz

cudzy obciąża sumienie i honor, a nikt nie powiedział jej nigdy, że dla kobiety są inne prawidła że prosta rzetelność nie jest dla niej obowiązującą.

Ojciec tymczasem powstał i znowu przechadzał się po pokoju, widocznie namyślał się jak ostatecznie postąpić należy. Może poczuł sam że powiedział rzecz niesprawiedliwą. Spoglądała na niego w niemem oczekiwaniu. Nie spodziewała się czynnej pomocy, ale chociaż słówka współczucia i żalu, chociażby uznanie okropności jej położenia.

— Ty Andziu, wyrzekł wreszcie, zatrzymując się przed nią, pozostań w domu, możesz tu być zupełnie spokojną, oddasz sklep i zakład twój cały na zaspokojenie wierzycieli, więcej żądać nie mają prawa i sprawiedliwie żądać nie mogą. Sądzę iż ta próba wyleczyła cię na zawsze ze wszystkich nowatorskich marzeń.

Czuła że ojciec miał słuszność, że nie pozostaje jej nic innego do zrobienia, a jednak wyleczoną nie była, czuła tylko że była pokrzywdzoną ciężko i że na tę krzywdę składało się wiele bardzo czynników, że była nieszczęśliwą a na nieszczęście to nie było ratunku, że chociażby świat cały ją rozgrzeszył nie odnajdzie spokoju dopóki nie spłaci zaciągniętych przez siebie zobowiązań. Nie uznawała tej różnicy płci w sprawach pieniężnych, którą ojciec jej tak silnie zaznaczył.

Przychodziło jej na myśl niewyraźnie, iż od urodzenia nakładano jej gęstą zasłonę na oczy a jeśli kiedy światło przeciskało się przez jaką szparkę, zakrywano ją starannie. Przychodziło jej na myśl że uczono ją różnych rzeczy, ale nie tych właśnie które jej były najpotrzebniejsze, że gdyby dzisiaj rozpoczynała życie chciałaby być do niego inaczej uzbrojoną, wiedzieć przynajmniej o niebezpieczeństwach jakie ją spotkać mogą i że wówczas wszystko byłoby poszło inaczej.

Dziś to wszystko leżało po za nią, nie miała sił, odwagi ani środków, ani zaufania w samej sobie ani też liczyć mogła na zaufanie drugich. Wszystkie te zasoby życia zmarnowane były. Wprawdzie słyszała nieraz że ludzie upadali i podnosili się z upadku; tak było względnie do zwyczajnych ludzi i zwyczajnych położeń, ona przecież stanowiła wyjątek.

Ojciec tymczasem rozmyślał nad środkami wprowadzenia natychmiastowego swojej rady.

— Trzeba posłać po pannę Balbinę, wyrzekł niech nic naszego tam nie zostanie.

Nie sprzeciwiała się, była w tej chwili zupełnie niezdolną łodzią swoją sterować, musiała ster ten oddać w cudze ręce.

— A te księgi, mój ojcze, szepnęła tylko, te księgi które on fałszował?

Zatrzymał się nad tą naj groźniejszą okolicznością.

— Ha! wyrzekł, trzebaby wiedzieć jak rzeczy stoją: rzeczywiście mógł straszyć cię tylko. Ja sam nie znam się na tem, trzebaby wezwać pomocy kogo biegłego.

Kochał on córkę całem sercem chociaż zupełnie innem uczuciem niż syna, pragnął wywikłać ją z kłopotów, kochał ją jednak i pragnął wywikłać poswojemu. Postanowił więc sam pojechać do miasta i szedł wydać potrzebne rozkazy, kiedy we drzwiach ukazała się panna Balbina.

Stara panna miała także swoją dyplomacyą i także kochała Annę po swojemu, to też, jakkolwiek była jej towarzyszką, ubolewała mocno nad jej pracą, kłopotami a szczególniej nad zaślepieniem niepojętem, które kazało jej upierać się przy tej pracy i tych kłopotach, kiedy mogłaby pójść za mąż i prowadzić spokojne dostatnie życie.

W skutek skombinowania dyplomacyi miłości i ubolewania panna Balbina skorzystała ze sposobności przypadkowego spotkania z panem Kalasantym, by zawiązać z nim pewne tajemnicze układy.

Być może zresztą iż spotkanie to nie było zupełnie przypadkowem, istniało bowiem twierdzenie że pan Kalasanty sam czatował na nie i uchwycił skwapliwie sposobność zawiązania układów.

W skutek tych układów zapewne pan Kalasanty od dawna miewał schadzki i konferencye z panną Balbiną, a w nich był dokładnie uwiadomiony o wszystkich trudnościach, kłopotach i zamiarach Anny.

Był on cierpliwym, lubił każden zamiar przyprowadzić do skutku i umiał czekać. Zrozumiał szybko jaki los miał spotkać przedsiębiorstwo nieumiejętnie prowadzone i czekał.

Oto była owa nadzieja o której stara panna wspomniała Annie, ale która nie mogła wlać jej do serca otuchy.

Panna Balbina, jak się pokazało, nie traciła czasu napróżno, bo zdołała już przez czas niebytności młodej towarzyszki dać znać sprzymierzeńcowi o nagłych wypadkach z których korzystać należało a nawet przeprowadzić układy, gdyż zjawiła się w stroskanym domu na kształt gołębicy Noego z gałązką oliwną w ręku.

Pan Kalasanty był wierny swemu przywiązaniu i gdyby Anna przyjęła jego rękę, ofiarowywał jako podarek ślubny spłacić wszystkie długi i zobowiązania jakie zaciągnęła przy swojem przedsiębierstwie.

Panna Balbina była tryumfująca, ojciec wypogodził stroskane oblicze, matka wylewała słodkie łzy, siostra nie posiadała się z radości, dzieci miały rozpromienione twarzyczki i żałowano tylko że brat starszy był oddalony, gdyż i on podzielałby niezawodnie ogólne uszczęśliwienie.

Pan Kalasanty, po którego posłano był naturalnie promieniejący, słowem do ogólnego jednozgodnego chóru radości brakło jednej tylko nuty, wesela narzeczonej, która się na nic zdobyć nie była w stanie, i wyglądała raczej na ofiarę niż na główną bohaterkę szczęsnej uroczystości.

Tak więc losu swego zmienić nie mogła i po latach całych walki daremnej musiała przyjąć z wdzięcznością, musiała uważać jako fakt radosny to co odrzucała z tak głębokim wstrętem.

Echa starego dworu i cienistych szpalerów ogrodu, które tak często rozbrzmiewały słowem *nigdy*, powtórzyły teraz wyraz *nazawsze* blizko znaczne według przysłowia na ustach niewieścich. Tylko teraz zmienny figlarny Eros nie miał z niemi nic wspólnego, tylko nie wypływały one z kaprysów serca, ale w prost z twardej konieczności.

Ludzie w koło uśmiechali się, szydzili z kobiecych postanowień, ale gdyby byli mogli zajrzeć w dziewicze serce znaleźliby w niem tylko smutek bezgraniczny i zniechęcenie blizkie rozpaczy.

Wiosna uśmiechała się w koło rozbudzonem życiem, wlewała podnietę w serca i umysły, kipiała nowemi siłami tryskającemi zarówno w pąkach drzew strzelających liściem, w płatkach kwiatów otwierających słońcu kielichy, w nutach rozkoszy wydobywających się z ptasich gardziołek, jak w piersi ludzkiej wznoszącej się nieokreślonemi pragnieniami tem silniej, im pierś ta jest więcej zbliżona do Fidyaszowej miary.

Wieczór zapadał, cichy wieczór majowy jako zapowiedź pogody, słońce z orszakiem drobnych obłoków rubinowych w tej chwili kryło się za pasmo wzgórzy, których łagodnie falująca linia odcinała się siną ametystową barwą na rozognionem tle nieba. W ogrodzie nad wąwozem który go oddzielał od pola bujnych ozimin, wsparta o płot chruściany stała Anna.

Uciekła na chwilę od radosnego gwaru, który zapełniał dom cały i smutna spoglądała w daleki horyzont zachodu. Krwawe blaski padały na jej twarz bladą i migotały w mętnych źrenicach. Nieruchoma z opuszczonemi ramionami podobną była do posągu bezsilności, znużenia i smutku.

Cała przeszłość niespełnionych zamiarów, niezniszczonych marzeń, pragnień które nigdy zadowolonemi być nie miały, odzywała się do niej i podnosiła w piersi chór żałoby który napróżno starała się uciszyć. Był to dzień jej zaręczyn; na palcu błyszczał kosztowny pierścień a brylant w nim osadzony, świecił jak gwiazda i migotał oślepiającemi blaskami przy promieniach zachodzącego słońca.

We dworze wrzał gwar i ruch, snuły się strojne postacie.

Panna Balbina, sprawczyni radosnego wypadku, wstrząsającego całą rodziną, panna Balbina, która urosła wśród niej do godności znakomitego członka, spostrzegła pierwsza nieobecność narzeczonej i wyszukała ją w oddalonym zakącie ogrodu.

Anna nie słyszała zbliżającej się. Nie obejrzała się na szelest sprawiony jej krokami ani na kilkakrotne wołanie, aż wreszcie gdy Balbina wzięła ją za rękę, zwróciła się ku niej i oderwała źrenice od przestrzeni w którą były wlepione.

— Andziu, szepnęła stara panna, znowu marzysz. Przecież teraz...

— Masz słuszność, czas marzeń przeminął.

Zacisnęła wargi i milczała przez chwilę, jakby mocując się sama z sobą.

— Cóż począć z marzeniami, zawołała z nagłym wybuchem, kiedy ustąpić nie chcą. Daremnie, przed losem swoim nikt nie ujdzie, a nadewszystko nie ujdzie przed nim kobieta.

Załamała rozpaczliwie ręce i spojrzała na starą pannę oczyma błyszczącemi gorączką...

Balbina otwierała usta do odpowiedzi. Ale Anna skinęła dłonią błagalnie i zatrzymała jej słowa zaczęte.

— Bądź spokojną, ciociu, zawołała, rozumiem swoje położenie, jestem wdzięczną panu Kalasantemu, postąpił jak zacny człowiek, nie zapomnę o tem, mogę go szanować przynajmniej. Skoro przestąpię próg jego domu, będę mu wierną żoną, dobrą towarzyszką, będę wszystkiem czem być powinnam, tylko, widzisz, szczęśliwą nie będę już nigdy, nigdy!

Jakże inaczej wymawiała ten wyraz niż wówczas kiedy zwracała go przeciw dzisiejszemu narzeczonemu: dawniej był to nieopatrzny bunt dziecka dziś głębokie przekonanie kobiety.

Rozpromienione rysy starej panny stawały się powoli coraz bardziej poważne, słowa Anny budziły jakieś echa w głębi jej wspomnień, jak wszystkie wspomnienia ludzkie, więcej pełne łez i bolów niż radości, i echa te mieszały się coraz wyraźniej z weselem obecnej chwili.

Była pomiędzy niemi chwila uroczystej ciszy a wśród niej zdawały się rozbrzmiewać głucho w wieczornem powietrzu smutne wyrazy Anny: „szczęśliwą nie będę nigdy, nigdy”.

— A któż jest szczęśliwy, wyrzekła wreszcie stara panna. Czy sądzisz że od twojej doli lepsza moja samotna, sieroca. A przecież i ja kiedyś byłam młodą jak ty i ja miałam marzenia swoje.

Zakryła twarz rękoma jakby te marzenia powracały jej nagle do pamięci.

— Wierz mi, dodała cicho, gdybym mogła się

wrócić i wybierać znowu, poszłabym jak ty, za uczciwego człowieka, chociażby nie był ukochanym mego serca ani nawet pięknym i młodym.

Anna wstrząsnęła głową.

— Nie narzekam, wyrzekła, na cóż, dola moja jest dolą powszednią. Tylko ja czego innego pragnęłam, ja miałam siły które się zmarnowały.

Zamyśliła się smutnie i długo tak pozostała z głową opuszczoną na piersi. Kiedy podniosła ją wreszcie, słońce ukryło się zupełnie za falistą linię pagórków, chmurki się rozpływały i niebo ciemniało. Balbina osunęła się na głaz omszony leżący pod drzewem i zatopiła się cała w krainie pamiątek, a smutek jej zdawał się bez pociechy.

. . . . . . Stare jej oczy były zaczerwienione, po zmarszczonych policzkach, spływały zwolna dwa strumienie łez, bruzdami które widać od dawna wyżłobiły sobie, chociaż nikt ich nie widział, bo nie dbał i nie pytał o nie. I były to najsmutniejsze łzy bez pociechy i współczucia.

Serdeczna litość obudziła się w sercu młodej dziewczyny, na widok tej cichej boleści której istnienia nie domyślała się nigdy. Zarzuciła jej ręce na szyję ruchem pełnym miłości, osuszała łzy gorącemi usty. Przez chwilę stara panna pozostawała milcząca w tym uścisku. Przez długie życie odwykła od tego by kto podzielał jej cierpienia, przeciwnie wzbudzały one zwykle głupi śmiech tej umysłowej gawiedzi, która istnieje na wszystkich szczeblach towarzyskich, przyuczyła się zamykać je w sobie. Powoli jednak tajała ta obojętna powłoka, pod serdecznemi pocałunkami Anny, wyschła pierś wzbierała łkaniem, ramiona jej wyciągnęły się i przygarnęły dziewczynę która w tej chwili zapomniała o własnej doli, litując się nad tą zupełnie wydziedziczoną istotą, która przecież do tej pory dźwigała krzyż swój tak mężnie iż nie domyślano go się nawet.

— Oh! zawołała w końcu Balbina, ty nie powinnaś narzekać, ani mówić, że nie masz przyszłości, wesprzesz się na ramieniu uczciwego człowieka, który cię kocha, będziesz miała rodzinę, dzieci, a jeśli zapłaczesz to przynajmniej córka obejmie cię miłośnie, łzy twoje otrze pocałunkami i pomyślisz że to, czego ci los odmówił, ona posiąść może.

— Ona posiąść może, powtórzyły Anna, tknięta słowami które w tej chwili wydały jej się proroczemi, bo odpowiadały najgłębszym pragnieniom.

Pozostała chwilę milcząca, zamyślona, aż w końcu podniosła czoło rozpromienione nową nadzieją.

— Ona posiąść może, zawołała z siłą jasnego postanowienia. Tak jest, Balbino, moje próby, walki, nieszczęścia nie będą daremne: jeśli mi niebo da córkę, wychowam ją inaczej niżeli mnie chowano, będę chciała nadać jej więcej praktycznej wiedzy, więcej hartu i znajomości życia niżeli ja posiadałam, uzdolnię ją w ten sposób by to co zapragnie urzeczywistnić mogła. A jeśli to ostatnie marzenie moje urzeczywistnić zdołam, nie powiem że życie moje spełzło daremnie. Niechaj córka moja uczyni to czego ja nie potrafiłam, dostroi zamiary do czynów.

DESZCZ.

Chmur przepaska ciemno-biała
Oczy słońcu przewiązała —
I, palona jego wzrokiem,
Łez rozlała się potokiem,
Wiatrem rozbujała.

Więc na barwne kwiatów sploty,
Kładła kryształ szczerozłoty,
A więc trawce, więc zielonej —
Przewiązała uperlony
Dyadem u czoła.

Zanuciła liści szmerem,
Rozbujała drzew szpalerem —
I zmęczona, a wesoła —
Zwisła tęczą nad eterem,
Barwną dookoła.

Kazimierz Paledzki.

TRZY MIESIĄCE W CHORWACYI.

Wspomnienia z podróży po Austryi i Węgrzech.

przez

LUIDEVITA PRIJATELI,

przekład J. B.

(Dalszy ciąg).

III.

Zagrzeb bierze na seryo swoją rolę stolicy, i ludność jego wzasta corocznie w stosunku rozległości państwa, którego gród ten jest zarazem głową i sercem.

Ugoda austryacko-węgierska z 1867 roku powróciła Zagrzebowi znaczenie polityczne które postradał od tylu już wieków; umiał też zająć je z zapałem i patryotyzmem godnym świetnych przeznaczeń czekających go w przyszłości.

Niegdyś Zagrzeb był środkowym punktem trójjedynego królestwa, złożonego z trzech małych połączonych królestw: Chorwacyi, Slawonii i Dalmacyi, które w następstwie zmiennej kolei losów utraciły swą autonomię i stały się prowincyami państwa austryackiego.

Dalmacya, ściślej złączona z cesarstwem, nie odzyskała jak Chorwacya i Slawonia oddzielnego bytu, stanowiącego jakby państwo w państwie. Zaprowadzając system dzielący na dwie równe prawie części dawne posiadłości korony Habsburgów, nowa konstytucya zaliczyła Chorwacyę i Slawonię do gruppy złożonej z Węgier i Transylwanii, położonej po za tą idealną granicą, jaką stanowi mała rzeczka Leita.

Chorwacya i Slawonia, złączone pod jednym zarządem, którego siedliskiem jest Zagrzeb, przyjmują udział w obradach parlamentu węgierskiego za pośrednictwem deputowanych, wybranych przez sejm krajowy, stanowiący reprezentacyę królestwa, oraz oddzielnego ministra do spraw Chorwacyi. W sejmie zasiadają przedstawiciele trzech żywiołów stanowiących prawdziwe siły narodu: biskupi, jako delegaci duchowieństwa, właściciele wielkich posiadłości ziemskich, przedstawiający szlachtę, wysłańcy miast i gmin, przedstawiający mieszczaństwo i włościan.

Kardynał arcybiskup zagrzebski, biskupi z Diakova, Kreutz, Zengg, Pakrac, Karlstadt, patryarcha grecki, arcybiskup z Karlowitz i biskup Pięciu Kościołów (Fünf Kirchen) którego juryzdykcya duchowna rozciąga się do części Slawonii, zasiadają w sejmie jako dostojnicy kościelni. Właściciele trzydziestu sześciu wielkich posiadłości ziemskich i ośmiu nadżupanów (Veliki Župan) świeckich zarządców komitetów, przedstawiają wsejmie krajowym żywioł arystokratyczny i wielką własność ziemską. Deputowani wybrani przez kontrybuentów 18 miast i 54 gmin wiejskich uzupełniają reprezentacyą narodową, w łonie której panuje najdoskonalsza jedność, równość i harmonia.

Ban Chorwacyi, najwyższy zwierzchnik zarządu cywilnego, tajny radca i delegat cesarski, który jest także obowiązany czuwać nad wykonaniem postanowień sejmu, zasiada w temże zgromadzeniu w podwójnym charakterze, jako komisarz cesarsko królewski i jako poseł miasta Belovar. Godność ta jest odwołalną i piastować ją może tylko członek sejmu, na mocy nominacyi cesarskiej.

Trzecim banem Kroacyi był Iwan Mazuranicz. Przed austro-węgierską organizacyą cesarstwa, dostojnik ten łączył w sobie władzę cywilną i wojskową nad całym krajem roztaczającym się między Dunajem, Sawą i Drawą i na wybrzeżach morza Adryatyckiego, stanowiących część Chorwacyi. Dziś ban posiada tylko cywilną władzę nad Chorwacyą i Slawonią, zaś terrytorya leżące w pobliżu Sawy i Unny, oraz dawne pogranicza wojskowe, podlegają zwierzchnictwu głównego dowódzcy sił zbrojnych, przebywającego w Zagrzebiu.

Iwan Mazuranicz urodził się w roku 1813, w małem miasteczku Novi, w tej części Chorwacyi którą nazwano Przymorzem. Jest on adwokatem i poetą zarazem i własnej tylko zasłudze zawdzięcza wyniesienie na najwyższe dostojeństwo w pośród rodaków swoich. Powierzony sobie zarząd kraju sprawował przezornie i gorliwie — a nie małe to zadanie zarządzać z ogólnem uznaniem i zadowoleniem krajem liczącym około 2,000,000 mieszkańców.

Ukończywszy nauki w Wiedniu, osiadł w Karlstadzie jako adwokat, i w krótce wsławił się swą szlachetnością, patryotyzmem i wymową. Kilkakrotnie obierany był w Zagrzebiu posłem do sejmu, i z kolei został kanclerzem dworu wiedeńskiego, tajnym radcą, przewodniczącym w sejmie, a nareszcie banem Chorwacyi dnia 20 października 1874 roku. Skromny, łagodny, pełen prostoty, nader łatwy w obejściu, prowadził życie ciche i skromne, był nieprzyjacielem zbytku i wystawności i pomimo że wysokie stanowiska, jakie zajmował nadawały mu do nich prawo, otaczał się niemi tylko w razach niezbędnej konieczności.

W młodym wieku pisywał poemata nie będące bez wpływu na ruch literacki wywołany przez Ljudewita Gaï, któremu Chorwacya zawdzięcza obecne swoje odrodzenie. Mazuranicz jest autorem dwóch prac literackich zapewniających mu pierwszorzędne miejsce w dziejach literatury chorwackiej.

Gundulicz, najznakomitszy poeta chorwacki w XVII wieku (1588 — 1638) pozostawił poemat w dwudziestu pieśniach, *Osman*, ale w rękopiśmie brakło pieśni 14 i 15-ej zagubionych nie wiedzieć jakim sposobem. Dorobił je Mazuranicz (1844), i kreśląc opis nieszczęśliwego położenia chrześcian jęczących pod jarzmem tureckiem, tak umiał przejąć się duchem poety i zjednoczyć z przedmiotem, iż powszechnie mniemano że odnalazł zaginiony rękopism. Trudno byłoby wydać świetniejsze świadectwo zasłudze autora.

Już w roku 1843 Mazuranicz wykazał niepospolity talent w wydanym poemacie epicznym p. t. „Smot Smaïl Cennig Aga (Śmierć Izmaela Cennig Agi); utwór ten zalicza się do pierwszorzędnych płodów piśmiennictwa chorwackiego. W tych dwóch

poematach odbija się w całej sile narodowy duch chorwacki; Śmierć Izmaila Agi doczekała się dziesięciu wydań i została przełożoną na kilka języków europejskich.

Do celniejszych płodów poetycznych literatury chorwackiej zaliczają jeszcze: „Zdobycie Szigedu", Brunona Karnaruticza; „Potrójne braterstwo", Szymona Milutinowicza; „Bohater Szigedu, Władysława Vezicza; oraz „Łukasz Wukałowicz", Radowana.

(d. c. n.)

PRZEGLĄD BELLETRYSTYCZNY.

Pod skrzydłami alma matris. — Kasia i Marynka Gabryelli. — Grzechy Hetmańskie Kraszewskiego. — Romans pana Michała, Zacharyasiewicza. — Wspomnienia obywatela, przez autora Kłopotów starego komendanta. — Bicz korali, Walerego Przyborowskiego.

Jest zwyczajem powszechnie przyjętym zajmować się tylko wyłącznie utworami, które wychodzą w osobnej odbitce, z pominięciem innych pojawiających się obficie w piśmiennictwie peryodycznem. A zwyczaj ten szczególniej tyczy się literatury belletrystycznej. Byłby on usprawiedliwionym, gdyby odbitka stanowiła dowód istotnej wartości dzieła, ale ponieważ świadczy ona tylko o możności lub troskliwości rodzicielskiej autorów, nie można mu przyznać racyi bytu. Przeciwnie zadaniem sprawozdawcy być powinno, badać pulsa umysłowego ruchu wszędzie gdziekolwiek się one objawiają i zwracać uwagę na prace zgubione nieraz w powodzi dziennikarskiej, skoro tylko te na wyróżnienie zasługują, jak przeciwnie krytyka może śmiało pominąć wiele takich, które dobra wola autora lub nakładcy ubrała w różnokolorowe okładki i podała w skoncentrowanej formie czytelnikom, albowiem tutaj jest miejsce powtórzyć z naciskiem że forma nie przesądza treści.

W ogóle obecny ruch piśmienniczy zamknięty głównie w wydawnictwach peryodycznych lub codziennych, a zatem wymagający pewnej liczby wierszy na dzień i godzinę, wywołuje często nadmierną produkcyę umysłową we wszystkich gałęziach literatury. Nie dla tego nadmierną by przenosiła potrzeby społeczne, nadmierną jednak często względnie do sił producentów.

Fakt ten działa szczególniej szkodliwie na belletrystykę, gdyż powieść i dramat jako rzecz artystyczna, wymaga pewnej obmyślanej z góry architektoniki, konsekwencyi i kunsztowności trudnej do osiągnięcia, przy pośpiesznej terminowej robocie a przynajmniej wyjątkowo tylko otrzymywanej przez wyjątkowe talenta.

Nie chcę bynajmniej utrzymywać że powieść napisana pośpiesznie, jak to mówią, jednym tchem, artystyczną i konsekwentną być nie może, tylko że nie zawsze jest ona taką, a warunki w jakich znajduje się umysłowa produkcya są tego rodzaju, że nie zawsze jest czas i możność zaradzić brakom jeśli natchnienie nie dopisze odrazu.

Zdarza się że autor naglony koniecznością lub zobowiązaniem rozpoczyna powieść mając zaledwie w myśli słaby zarys jednej sytuacyi, charakteru lub sceny i do nich dorabia czyli raczej dosztukowuje całość, jeźli już jak to często ma miejsce w Paryżu, nie pisze z dnia na dzień feljetonu kończąc go zwykle jakimś sensacyjnym wypadkiem.

Zważywszy te wszystkie warunki dziwić się nie można tej massie słabych, słabszych i najsłabszych powieści, które tak w literaturze zagranicznej, jak i naszej własnej coraz rozpowszechniają się szerszem kołem, wywołują niesmak czytelników i wpływają głównie na zniechęcenie do tej piśmienniczej gałęzi umysłów poważnych. Bo skoro powieść przestanie być wiernem zwierciadłem społecznem, skoro nie oprze się na psychologicznych studyach, traci zupełnie w dziedzinie umysłowej swoją racyę bytu i przybiera charakter mniej więcej udatnej bajki dla dorosłych dzieci.

Niebezpieczeństwa i złe warunki wywołane nadmiernem rozszerzeniem piśmiennictwa peryodycznego, które znowu z drugiej strony odpowiadać musi pewnym potrzebom obecnej chwili, jest tonowa piśmiennicza faza złączona ściśle z całym obecnym stanem społecznym, posiada więc sobie właściwe dodatnie i ujemne strony i sobie właściwe niebezpieczeństwa, przeciw którym krytyka walczyć powinna, oddzielając starannie to co nosi znamię istotnego talentu i pracy od tego co na uwagę nie zasługuje, chociażby nawet tchnęło dobremi chęciami lub podpisane było znanem nazwiskiem i ukazało się w handlu księgarskim w zbroszurowanej formie.

(d. c. n.)

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Dnia 21 z. m. odbył się w Krakowie bal na dochód pomnika Mickiewicza, i jak tego można było być pewnymi, powiódł się nader świetnie. Dwie wielkie sale hotelu Saskiego okazały się za szczupłe na pomieszczenie wszystkich pragnących przyjąć udział w zabawie, to też wszyscy którzy spóźnili się z żądaniem biletów, już ich otrzymać nie mogli. Bal rozpoczęli polonezem: marszałek Zyblikiewicz z Deotymą, dalej prezydent miasta Lwowa, Gnoiński z księżną Zuzanną Czartoryską, prezes Majer z panią Szlachtowską, hrabia Stanisław Tarnowski z panią Matejkową, Wacław Szymanowski z hrabiną Tarnowską. Do kadrylla stanęło 126 par. Toalety pań były bardzo kosztowne i piękne, wiele odznaczało się nadzwyczajnem bogactwem brylantów i drogich kamieni. Deotyma sprzedawała śpilki z popiersiem Mickiewicza, hrabina Stanisławowa kwiaty, za które zebrała się znaczna summa; jeden z obecnych zapłacił pięknej kwiaciarce sto guldenów za jedną kamelję. Bawiono się do szóstej rano. Gdy to piszemy nie ma jeszcze więcej szczegółowych doniesień ani wykazu dochodu, spodziewać się można że okaże się dość znaczny. W żadnym razie nie może jednak dopełnić brakującej do postawienia pomnika summy.

+ Wszystkie pisma donosiły o „balu wszystkich narodów", jaki odbył się w Monachium d. 18 z. m. który, niestety! zakończył się tak tragicznie: podajemy tu szczegóły według korespondencyi nadesłanej do „Echa".

Tak stale zamieszkali, jak przybyli do Monachium malarze, powzięli myśl wydania *„balu kostiumowego wszystkich narodów"*. Po długich naradach postanowiono zamiar ten urzeczywistnić i rozpisano liczne zaproszenia, skutkiem których znaczna bardzo liczba artystów przybyła do Monachium. I odzielili się na grupy odnośnie do narodowości, a każda z nich przedstawiać miała ojczyste swoje strony. Ponieważ najwięcej było Niemców, ci więc mogli się podzielić i dla tego prócz swoich podjęli się przedstawić i narody z najdalszych krańców świata, u których sztuka dotąd prawie nie istnieje.

Silna wola artystów zdołała przełamać wszelkie nastręczające się trudności, z których największe przedstawiały znaczne koszta, gdyż każda grupa pragnęła przedstawić się jak najświetniej — a jak wiadomo artyści zazwyczaj nie są krezusami. Bal miał miejsce w wielkiej sali *kolosseum*, nader świetnie oświetlonej. Liczna orkiestra powitała wchodzących poważnym marszem. Przy wejściu błyszczały *lody północne*, ułożone z fantastycznych kryształowych piramid; odziani w futra rybacy zajęci byli soleniem ryb morskich. Nieco dalej wznosił się *pałac maurytański*, odznaczający się prześliczną architekturą; w wnętrzu jego zwracali uwagę Hiszpanie przybrani w piękne hiszpańskie kostiumy. Tańczyli porywające *fandango*.

Tam znowu uderza oczy i uszy *świątynia indyjska* i derwisze przeraźliwe wydający tony. Dalej olbrzymi *okręt* w którym poruszali się zwolna zimni i poważni Anglicy. Tam oto *pagoda chińska*, synowie słońca i bracia księżyca płatają różne charakterystyczne figle i pokazują łamane sztuki. W tureckim *haremie* obnoszą sorbety... Ale cóż to za rycerz blady i chudy, posępnego oblicza wjeżdża poważnie na koniu na środek sali? To *don Quichot* a za nim ciągnie na osiołku poczciwy *Sancho-Pansa*. Mała ta grupa była bardzo udatna.

Wtem *murzyni* wnoszą na salę Cezara, a za nimi cisną się Włosi, Francuzi, Czesi, Węgrzy. Dalej na wspaniałem krześle wnoszą *dożę weneckiego*. Dalej tłumy *zakoników* którzy jak wiadomo tyle pięknych kart zajmują w dziejach sztuki, biegną szukając swoich ślicznie urządzonych namiotów lub gmachów.

Nagle na sali rozległy się głosy: z drogi! cicho!... i rozsuwają się wszyscy... Ukazuje się naród który może ostatni zabłysł w dziejach malarstwa i sztuki w ogólności, ale za to odrazu olśnił wszystkich swym promiennym w nich blaskiem. Skrzypek krakowski rznie od ucha krakowiaka, a żydek wtóruje mu na basetli; za nim idzie poważnie góral, w takt przygrywając na dudach. Za kapelą arendarz wiedzie weselne grono mazurów; parobczaki krzeszą ognia podkówkami, a dziewuchy przyśpiewują. Za nimi kroczy sołtys i lirnik, a obok dwóch braci szlachty muska zawiesiste wąsy, i polonezowym krokiem suną butnie i buńczucznie. Orszak zakończają guńki, lud z toporkami i kmiecie w chodakach.

„Polacy idą! zawołali Niemcy, życzliwie witając ten piękny, nowy dla nich pochód.

Grono Polaków wchodzi do *starej karczmy*. Stoi ona w środku sali, naprzeciw maurytańskiego pałacu, opatrzona zwykłym gankiem z dębowemi ławami, pokryta słomianą strzechą; skromna i spokojna, widzi otaczający ją przepych, ale nie zazdrości nikomu.

Oczy wszystkich obecnych zwracają się ku karczmie, bo przed nią rozpoczął się dziarski, staropolski mazur, tańczony z ogniem i z życiem. Kapela łączy się z przygrywającą na galeryi muzyką, mazowieckie tony rozlegają się po sali. Szlachta brzękając w szable zatacza różne koła, za nimi kmiotkowie dziarskie wywijają hołubce. Z osta-

tnim taktem mazura, rozległy się w całej sali głośne, jednomyślne oklaski.

Książę Luitpold i książę Ludwik, otoczeni dworem swoim, wchodzą do karczemki: powitano ich wyrzuceniem w górę rogatywek. Książęta królewskiego domu bawarskiego piją miód z parobczakami, których arendarz hojnie traktuje. Dostojni goście wychodzą z karczmy dziękując nader uprzejmie za gościnne przyjęcie — a na sali rozległo się wołanie o powtórzenie mazura. Tym razem już sama tylko młodzież bierze udział w tańcu, starsi siedli na ławach i popijając miodem rozmawiają o poważnych sprawach. Tłumy oblegają dokoła tancerzy i karczemkę. Węgrzy i Czesi stają z kolei pod oknami, wyśpiewując pieśni opiewające bratnie nasze z nimi stosunki. Gwar i wesołość wzmaga się z każdą chwilą; pojawili się ułani i wzięli udział w tańcu. Arendarz nie może nastarczyć nalewać miodu który wszystkim narodom bardzo zasmakował; a dziewczęta ledwie mogą opędzić się Turkom i Murzynom. Indyanie zawijają smacznie bigos i zrazy, jakby to była rodzima ich strawa, a stary *baca* odźwierny gospody, widząc napływ gości, otworzył drzwi na rozcież, mówiąc sobie „a niech ludziska z całego świata zabawią się u nas wesoło”.

Wtem nagle straszny krzyk rozległ się w sali od strony gmachu z lodu; rzucono się ku tamtej stronie i ujrzano kilku grendlandczyków zamienionych w słupy ogniste, z jękiem tarzających się po posadzce. Zajęły się płomieniem futra ich, zrobione dla lekkości z pakuł; najpierw podobno na jednym, a od niego na innych chcących go ratować. Wiele z obecnych osób nie pojęło odrazu strasznej prawdy, rozumiejąc że to jakiś figiel wchodzący do programu. Muzyka grająca na galeryi głuszy jęki konających; Polacy, a w ich liczbie znakomity nasz malarz Brandt, pierwsi rzucili się do ratunku — niestety! niepodobna już było ocalić najgorzej poparzonych. Ośmiu już żyć przestało, dwóch jest jeszcze między życiem a śmiercią, kilku innych lżej zostali poparzeni. Ofiarami ognia są Niemcy. Biedni! wesoło rozpoczęta zabawa tak strasznie skończyła się dla nich — a ileż to rodzin pogrążyła w żałobie!... I w tej samej sali będącej widownią tak tragicznego wypadku, nazajutrz miała miejsce maskarada.

+ Donoszą z Poznańskiego. Hrabia Zygmunt Czarnecki, dnia 20 października r. z. skazany został przez Izbę karną sądu krajowego w Lesznie na trzy miesiące więzienia za to, że na pałacu swoim w Siekowie kazał umieścić dwie chorągiewki z napisami: na jednej „Śmierć” na drugiej „Niemcom”. Zaś czeladnik dekarski, Zwejgert, który przytwierdził je na dachu, na 14 dni więzienia. Przeciw temu wyrokowi hrabia założył apellacyą do sądu rzeszy w Lipsku, i ten polecił ponowne rozpoznanie tej sprawy Izbie sądu karnego w Lesznie. Taż Izba, na posiedzeniu d. 16 lutego, uwolniła hrabiego od kary i kosztów, motywując tem swój wyrok: iż nie jest mu udowodniony zamiar wzywania do karygodnego czynu i podburzania jednej części ludności przeciw drugiej. Na tej zasadzie i Zwejgert został także uwolniony. Obrońcą oskarżonych był p. Jeżdżewski, adwokat z Poznania. Prokurator wnosił o skazanie hrabiego na półtora roku, a Zwejgerta na 9 miesięcy więzienia.

+ Żandarmi to ludzie wypróbowanej odwagi, skoro i samego dyabła się nie ulękną i jeden z nich prowadził j. k. m. szatana kosmatego, z ogonem i z rogami przez ulice Krakowa 18 z. m. Dyabłem tym był urzędnik gminny, wójt z pod Wieliczki. Dowiedział się od pewnej wieśniaczki że wygrała ona na loteryi 300 guldenów i z tych 200 umieściła w Krakowie w kasie oszczędności, 100 zaś zatrzymała i część ich wydała już na potrzeby domowe. Zaraz w nocy zjawia się tedy u niej w postaci dyabła, rozkazując oddać sobie pieniądze, które jako wygrane na loteryi są jego własnością, a posługuje się niemi na zagładę dusz ludzkich. Przestraszona kobiecina oddaje mu 75 guldenów, lecz on żąda jeszcze 200, umieszczonych w kasie oszczędności, mówiąc że przyjdzie do niej następnej nocy. Z dyabłem nie ma żartów. To też posłuszna babina zaraz rano rusza do Krakowa po odbiór złożonych w przeddzień 200 guldenów; zadziwiony urzędnik że pragnie odebrać pieniądze nazajutrz po ulokowaniu, pyta o powód; i wieśniaczka nie umiejąc się czemś wykręcić, opowiada jak się rzecz miała. Zaraz po jej odejściu, urzędnik ów zawiadomił policyę; czatujący na szatana żandarmi ujęli w nocy dyabła i odprowadzili do Krakowa.

+ Wiktor Hugo kończy obecnie 79 lat; do uroczystego obchodu urodzin jego robią w Paryżu wielkie przygotowania. Znakomitemu francuzkiemu poecie zostanie wręczony złoty wieniec laurowy, na którego listkach wypisane będą tytuły jego utworów. Paryżanie, liczne deputacye z całej Francyi, kapele, artyści, wszyscy ukostiumowani jako bohaterowie z dramatów Wiktora Hugo, odbędą pochód przed domem poety. W pałacu Trocadero urządzony ma być poranek na cześć jego, i we wszystkich prawie teatrach grane będą jego sztuki. Na pamiątkę dnia tego wybity będzie medal bronzowy.

+ W stowarzyszeniu psychyatrów w Petersburgu obraną została na członka pani Tarnowska; pierwszy to przykład udziału w tem stowarzyszeniu kobiety.

+ Berlińskie dzienniki podają opis obchodu noworocznego poselstwa chińskiego w Berlinie. Jak wiadomo, Chińczycy mają własną rachubę czasu, której początkiem jest każde wstąpienie na tron nowego cesarza, i tak: naszemu rokowi 1881 odpowiada chiński siódmy rok cesarza Kuangsi, który wstąpił na tron 1875 r. Bieżący rok chiński rozpoczął się 30 stycznia, a skończy się 17 lutego 1882 r. Obchód noworoczny w poselstwie chińskiem zaczął się od tego, że rano wszyscy członkowie w świąteczne przybrani szaty, koleją starszeństwa składali sobie hołdy. Trwało to od 10 do 12 rano. Najmłodszy z urzędników, pierwszy udał się do najbliższego sobie stopniem kolegi i zadzwoniwszy trzykrotnie wszedł do pokoju, tam rzucił się na ziemię, powstał, postąpiwszy trzy kroki ponowił hołd i wtedy dopiero także powitany został przez witanego w ten sposób. Ostatni udał się następnie do najbliższego rangą starszego kolegi i tam takiż sam hołd złożył, i tą koleją szło coraz wyżej aż do samego posła, któremu jednak wszyscy już podwładni razem składali gratulacye. Poseł Di-Fong-Pao, wystąpił w towarzystwie swego dwunastoletniego synka, który niedawno zaszczycony został „guzikiem” mandaryna. W końcu wszyscy członkowie poselstwa, zebrani w sali audyencyonalnej, padli twarzą na ziemię, i zwróceni ku wschodowi, stronę, gdzie stoi tron ich monarchy, w ten sposób hołd mu złożyli.

Następnie miała miejsce wielka uczta, na której była obecną małżonka posła, pani Li-fu-jeu, bardzo lubiona w wysokich sferach towarzyskich berlińskich. I to zapewnie spowodowało chińskiego dygnitarza, że wbrew chińskiego zwyczaju pozwolił żonie robić honory domu, z czego zresztą wywiązała się z ogólnem zadowolnieniem. „Menu” składało się z 20 dań, wnoszonych przez lokai z kosmykami, przybranych galowo. Połowa dań składała się z ryb, oryginalnie ale smacznie przyrządzonych. Nakrycia i zastawa na sposób chiński: zamiast widelcy, pałeczki z kości słoniowej. Po raz pierwszy tym razem wino pojawiło się na stole chińskiego dygnitarza, podane na sposób europejski.

+ Pod Braga, w Portugalii, odkryto przed niedawnym czasem miasto podziemne nakształt Pompei. Gorliwie prowadzone wykopaliska przedstawiają uczonym nader cenne zabytki. Starożytne mury, mnóstwo pamiątek, celtyckiego zdaje się pochodzenia, powiększą bogate zbiory archeologiczne ku posłudze nauki. Rzeźby, których wiele bardzo znaleziono, wskazują że mieszkańcy tego grodu przybyli tu przed wiekami z Turanu.

Gazety algierskie donoszą znowu że niejaki pan Tarry odkrył przedwiekowe miasto w południowej stronie Algieru, które od wieków leżało pokryte piaskiem, pomimo to przechowało się doskonale. Znalezione budowle mają być bardzo piękne, a napisy na gmachach świadczą o cywilizacyi dawnych jego mieszkańców. Dotąd odkopano meczet i 9 domów. Uczeni całego świata nadzwyczaj zaciekawieni są tem odkryciem.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pan. Helenie G. Wierszyk p. t. „Moja piosenka”, jest rzeczywiście pełen uczucia i prostoty, ale w formie są usterki bardzo liczne. Młoda Autorka rozkwitająca dopiero jak pączek kwiat piękny obiecujący, niech dobrze pozna zasady budowy wierszy i utwory naszych wielkich poetów, a sama najlepiej wykryje braki w jej piosence znajdujące się. Wyobraźnia u niej żywa, zdolność także widoczna, przy pracy z czasem wydadzą pożądane owoce, czego życzymy jak najserdeczniej.

Pani Ha. w Mroczkach. Komplet Tygodnika Mód z kwartału czwartego roku zeszłego, został wysłany d. 20 z. m. do stacyi Knyszyn, gdyż do stacyi Mońki poczta posyłek nie przyjmuje.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 16 Февраля 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

TAK BLIZKO SZCZĘŚCIA.

(przekład z francuzkiego)

przez J. B.

(Dalszy ciąg).

Ta straszna myśl dręczyła ją bezustannie, dopóki nie usnęła ze znużenia a gdy nazajutrz rano Sara weszła do jej pokoju, zastała ją śpiącą wprawdzie, ale na rzęsach jej błyszczały łzy, a z piersi wydobywały się ciężkie westchnienia.

Hrabia wrócił nazajutrz.

— Czy są jakie wieści o naszych? zapytała drżąc Stefania.

— Nie, drogie dziecię, i prawdopodobnie będziemy zmuszeni długo jeszcze czekać, zanim się czegoś dowiemy.

Rzucił się przygnębiony na fotel, który mu przysunęła do kominka.

— Rząd przemawia teraz zupełnie odmiennym tonem, mówił dalej, „ponieśliśmy tylko małą porażkę; Orlean odzyskany."

— Czy pułk Jerzego brał udział w tych bitwach?

— Tak, odpowiedział hrabia z westchnieniem, i pochylił siwą głowę na piersi.

Stefania uklękła przy nim, mówiąc:

— Przyrzekliśmy Jerzemu, że będziemy się starali być mężnymi, teraz właśnie nadszedł czas dotrzymania tej obietnicy. Powierzyliśmy to drogie życie Bogu, On wysłucha nasze modlitwy.

— Biedne dziecko, szepnął pan de Fleynac całując Stefanię w czoło.

Jednak słowa jej orzeźwiły go trochę: jej pełne tkliwości współczucie ożywiło to ojcowskie serce na pół zdrętwiałe z boleści. Czekali dwa dni jeszcze usiłując skrócać sobie czas miłosiernemi uczynkami; trzeciego dnia przybył do Roques pan Taillade, uradowany i dumny jak gdyby wygrał jakąś walną bitwę.

— Wszystko idzie dobrze! zawołał wchodząc; odwrót zaczepny zdumiewający! Dzielny jenerał Chanzy objął dowództwo nad armią.

— Czy nie ma jakich wiadomości dotyczących osób prywatnych? zapytała Stefania blada i drżąca.

— I owszem, oto jest list do pana hrabiego, a mamy także listę rannych i poległych. Szczęście sprzyjało tutejszym mobilom, żaden z nich nie otrzymał cięższej rany.

Hrabia otworzył śpiesznie list, przebiegł szybko oczyma pierwsze kilka wierszy i rzekł cicho pochylając się do Stefanii:

— Jerzy zdrów zupełnie!

Wsparła głowę na ramieniu starego przyjaciela, a prefekt ucieszony ich szczęściem, rozprawiał dalej z większym jeszcze zapałem.

— Dziękuję panu, panie Taillade, bardzo to uprzejmie ze strony pana że przyniosłeś nam niezwłocznie tak pocieszające wiadomości, rzekła Stefania po chwili. Czy pan ma listę przy sobie?

— Tak, pani, uspokoiłem już matkę Franciszka i wszystkich na wsi.

Pan de Fleynac przeczytał list i podał Stefanii parę stanowiących go ćwiartek.

— Orlean znów w ręku nieprzyjaciela, Tours zagrożone, rzekł odprowadzając pana Taillade, nie widzę w tem nic tak pomyślnego.

— Ja także, odpowiedział naiwnie prefekt, ale rząd utrzymuje inaczej, a musi przecie znać się na tem.

Stefania tymczasem czytała chciwie list Jerzego; był on dla niej tem, czem jest dla umierającego z pragnienia na puszczy Araba woda, którą mu wsączy w spieczone usta miłosierny przechodzień. Rumieniła się i bladła czytając opis bitew, w których Jerzy brał udział; podziwiała wraz z nim męztwo tych młodych żołnierzy, którzy zaledwie opuściwszy rodzinne progi, szli odważnie w ogień za swym dowódzcą. Opis odwrotu ku Orleanowi i za Loarę dreszczem ją przejmował. Mróz zwiększał się z każdym dniem, kiedyż nakoniec wróg przestanie ich ścigać.

— Moje dziecię, rzekł hrabia, kładąc rękę na jej ramieniu, jest także list do ciebie, był w tej samej kopercie, ale nie spostrzegłem go w pierwszej chwili.

Spojrzała na niego z radośnem rozrzewnieniem; w oczach jej odbiły się promienie wychodzące z jej duszy, i napełniły je tak cudownym blaskiem, że stary hrabia głęboko wzruszony, pocałował ją w czoło i wyszedł aby mogła swobodnie oddać się swej radości.

Stefania nie spodziewała się, aby Jerzy pisał do niej, wiedząc że ojciec udzielać jej będzie wszelkich wiadomości zawartych w jego listach. Ona dla siebie nic nie żądała; pragnęła tylko wiedzieć że jest zdrów zupełnie, a ten drogi, nieoceniony przyjaciel myślał o niej! Otworzyła list jego z głębokiem uczuciem.

„Droga przyjaciółko moja, zamierzam dziś powierzyć ci wszystko co mi cięży na sercu, jak to czyniłem niegdyś, kiedy nazywaliśmy cię grobem tajemnic; chcę ci udzielić wiadomości które wzruszyłyby zbyt boleśnie mego ojca, zresztą to co ci mam powiedzieć dotyczy i ciebie także.

„Z listu mego do ojca poznałaś już szczegóły bitwy pod L., ale nie mogłem go uwiadomić kogo spotkałem przy zdobywaniu parku.

„Nasz jenerał rozstawił wojsko na stoku wzgórza tak, aby pierwsze szeregi, mające się posuwać naprzód pod morderczym ogniem nieprzyjaciela, były energicznie popierane. Mobile z D... szli pierwsi, a moi tuż za nimi. Wydano rozkaz, i zaczęliśmy wchodzić na tę dość stromą pochyłość, poprzecinaną skałami i laskami. Kule nieprzyjacielskie posypały się gradem, ale zasłaniały nas jeszcze kępy drzew. Mobile wyprzedzający nas, szli śmiało i żwawo, my postępowaliśmy tuż za nimi: przy murze parku trzeba było wytrzymać ogień piekielny. Prusacy usiłowali nas powstrzymać, ale żołnierze nasi uniesieni szałem bitwy przełamywali wszelkie przeszkody, i krok za krokiem odpychali nieprzyjaciela. Doszli nakoniec do obszernego trawnika, na którym znajdowało się zaledwie kilka drzew dla ozdoby, i znaleźli się naprzeciwko starożytnego zamku, poprzecinanego strzelnicami i silnie bronionego. Kule sypały się ze wszystkich stron a żołnierze pierwszych szeregów stali na odkrytem zupełnie miejscu.

„Nie wyszliśmy jeszcze z lasku, kiedy oni cofać się zaczęli; posunęli się śmiało na trawnik, ale większa część idących naprzód, padła, następujący doznali takiegoż samego losu; zatrzymali się zdjęci strachem i zaczęli się cofać. Dowódzca, mężnie prowadzący ich w ogień, daremnie usiłował ich powstrzymać.

„— Naprzód dzieci! naprzód! wołał, nie traćcie odwagi a zwyciężymy!

„Ale nieustanny świst kul był wymowniejszym niżeli głos jego. Niektórzy zaczęli uciekać. Jeszcze chwila, a wszyscy się rozpierzchną! Popłoch w szeregach rozszerza się tak łatwo.

„Dowódzca zrozpaczony przybiegł do mnie. Twarz jego poczerniała od prochu i kurzu, jak zapewnie i moja, ale pomimo to nie mogliśmy się nie poznać od pierwszego spojrzenia.

„Był to książę de Sauves, Stefanio!

„Zatrzymał się chwilkę patrząc na mnie.

„— Cóż to znaczy, zawołał, gdy idzie o Francyę dopomóż mi pan ich powstrzymać; śpiesz nam na pomoc ze swoimi; inaczej wszystko stracone!

„Nie odpowiedziałem ani słowa. Miał słuszność; ojczyzna przedewszystkiem! Pośpieszyłem mu na pomoc; powstrzymywaliśmy uciekających, doprowadziliśmy ich napowrót na pole walki.

„— Przyjaciele! zawołałem, zwracając się do moich żołnierzy, my teraz zajęliśmy pierwsze miejsce i nie ustąpimy go nikomu.

„Poszli za nami, bo i książę rzucił się naprzód z nieustraszoną odwagą. Mężni nasi żołnierze przeszli biegnąc tę straszną przestrzeń: świst kul, krzyki, dym, zapach prochu zamieniały ją w prawdziwe piekło. Wielu padło; żaden się nie cofnął.

„Stanęliśmy nakoniec pod murami zamku, wysadziliśmy drzwi; żołnierze nasi wtargnęli do niego, ścigając nieprzyjaciół, mszcząc się za poległych towarzyszy. Wkrótce byliśmy panami placu bitwy Prusacy złożyli broń. Wydawszy rozkazy niezbędne dla naszego bezpieczeństwa, wyszedłem zająć się memi rannymi. Dzięki szczęśliwemu zrządzeniu Opatrzności, w moim oddziale nie było ciężko rannych; pułk księcia nie był tak szczęśliwym, wielu żołnierzy poległo i wielu ciężkie poniosło rany. Zadziwiło mnie, że nie widziałem go wśród oficerów krzątających się koło tych biedaków.

„Podnosiłem wraz z Franciszkiem jednego z naszych w tem ktoś położył rękę na mojem ramieniu. Odwróciłem się; oficer mobilów z D... rzekł do mnie:

„— Komendant chciałby się widzieć z panem.

„— Jaki komendant?

„— Książę de Sauves.

„— Po co?

„— Zdaje mi się że jest umierający; odpowiedział młody oficer ze łzami w oczach. Leży tam pod drzewem, nie pozwolił się przenieść, chce pierwej zobaczyć się z panem.

„Zimny dreszcz mnie przebiegł. Inna to rzecz spotkać się w zapale bitwy, kiedy obowiązek, poświęcenie dla ojczyzny tłumi wszelkie nienawiści, a inna iść z własnej woli do tego człowieka, który...

„Smutek młodego oficera nie dozwolił mi wahać się długo. Komendantowi jego musiało grozić wielkie niebezpieczeństwo, skoro płakał nad nim patrząc na tylu poległych.

„Udałem się za nim. Książę leżał na płaszczach

pod drzewem; jeden z oficerów podtrzymywał jego głowę. Jedna ręka strzaskana uderzeniem kuli była już obandażowana; pod rozpiętym mundurem widać było koszulę krwią zbroczoną. Oczy zamknięte, twarz ściągnięta, zdradzały straszne cierpienie, którego objawy powstrzymywał wysiłkiem woli.

„— Komendancie, odezwał się oficer, pan de Fleynac przyszedł.

„Silny dreszcz wstrząsnął nieszczęśliwym, gdy usłyszał moje nazwisko. Otworzył oczy, spojrzenie jego było już błędne i zamglone.

„— Dziękuję Gilbert'cie, szepnął; pozostaw mnie z panem de Fleynac, on zechce zająć twoje miejsce.

„Podtrzymujący go oficer skinął na mnie; uklękłem na jego miejscu, i złożył na moich kolanach głowę człowieka, którego widok był dla mnie tak nieznośnym.

„— Przepraszam, rzekł słabym, świszczącym głosem, ale inaczej nie mógłbyś pan usłyszeć. To nie potrwa długo! chciałem podziękować za pomoc udzieloną mi w bitwie, i... i prosić o przebaczenie. Nie zasługuję na nie... ale jesteś chrześcianinem...

„— Tak, jestem chrześcianinem, pragnę nim być; jednak wahałem się, trudno mi było zdobyć się na to.

„— Przebacz mi, odezwał się znowu, pozostaje mi już tylko kilka chwil życia, a ciężko byłoby mi umierać bez twego przebaczenia.

„Litość przemogła.

„— Przebaczam, rzekłem wzruszony; ale proś Boga, aby miał nad tobą miłosierdzie.

„— Już trochę zapóźno!... Ale czy pani d'Éricey zechce mieć miłosierdzie nademną? czy mi przebaczy?... tak gorąco tego pragnę!... Jeźli ją pan kiedy zobaczysz, powiedz... że kochałem ją prawdziwie, i błagam, aby miała litość, aby przebaczyła winy moje!...

„— Przebaczy, jestem tego pewny, odpowiedziałem wzruszony pomimowolnie.

„Spostrzegłem w tej chwili że Gilbert dawał mi jakieś znaki; przywołał kapelana, a nie śmiał przybliżyć się z nim do nas. Wspomnienie o tobie, Stenio, natchnęła mi myśl dobrą.

„— Przebaczy i będzie się modlić za ciebie, dodałam; ale gdyby tu była, radziłaby, żądała, abyś pojednał się z Bogiem!

„— Tak sądzisz? Tak... i moja matka także... Czy jest kapelan?

„Przywołałem księdza i pozostawiłem go z umierającym.

„Zatrzymałem się obok oficerów stojących o kilkanaście kroków. Nieszczęśliwy leżał pod ogołoconem z liści drzewem; kapłan modlił się klęcząc przy nim; blady promień zimowego słońca, przedzierający się przez poczerniałe gałęzie, oświecał tę grupę. Serce ścisnęło mi się boleśnie. Kapelan wstał i zbliżył się do mnie.

„— Jest blizkim skonania i chciałby pożegnać się z panem.

„Zbliżyłem się; książę wyciągnął do mnie rękę.

„— Żegnam cię! przepraszam... powiedz pani d'Éricey, że skonałem myśląc o niej.

„— A ona? gdzież ona jest teraz? zapytałem.

„— Gdzie? więc nie wiesz o tem? przy niemieckich ambulansach.

„Głuchy jęk wydobył się z mych piersi, to przechodziło już wszelkie granice. Nędznica!...

„— Tak, szepnął; zaraz w początku wojny pojechała do Niemiec... teraz... jest... tam!

„— Pozwól mu pan teraz myśléć tylko o Bogu, chwila skonania już blizka; powiedział kapelan, który zbliżył się znów do umierającego, niosąc mu słowa pociechy.

„— Módlmy się, rzekł po chwili, za tę duszę wracającą na łono swego Stwórcy!

„Zebrał ostatki siły aby uścisnąć moją rękę, i wymówił zaledwie dosłyszanym głosem:

„— Powiedz jej... błagam... przebaczenia!

„Z piersi jego wydarło się jakby łkanie, głowa opadła... skonał.

„Steniu, jestem pewny że mu przebaczysz, i będziesz się modlić za niego. Módl się i za mnie także, bo dusza moja przejęta goryczą. Przy niemieckich ambulansach!... pojmujesz teraz dla czego nie chcę aby ojciec mój czytał te kartki. O! gdyby mógł nie dowiedzieć się nigdy jaką hańbę ściągnąłem na nas obydwóch! I mogłem kochać podobną istotę!

„Droga Steniu, nie śmiałbym już liczyć na twoje współczucie, gdybyś nie była... sobą!"

Gdy stary hrabia wrócił do pani d'Éricey, zastał ją klęczącą ze złożonemi rękami; usta jej szeptały modlitwę wypływającą z serca za nieszczęśliwego, który śmiercią bohaterską i szczerym żalem wyjednał sobie zapewnie miłosierdzie Boże, i za przyjaciela o którego zgubnej pomyłce zapominała, myśląc jedynie o jego nieszczęściu i niebezpieczeństwie grożącem mu ciągle.

IV.

Ciągle trwał odwrót armii Loary, pełen bohaterskich choć bezużytecznych usiłowań tej armii, którą męztwo jej młodych żołnierzy czyniło godną podziwu, a wystawionej na wszelkie dolegliwości wyjątkowo mroźnej zimy.

Któż nie pamięta tych strasznych mrozów, które pokryły nieszczęśliwą Francyę śniegowym całunem, i groziły śmiercią nawet drzewom i zwierzętom? Kto sobie nie przypomina ciężkiej doli naszych żołnierzy? Komu nie utkwiły w pamięci te zasłane śniegiem pola te drzewa uginające się pod ciężarem błyszczącego na nich szronu; te rzeki na pół ściśnięte lodem; strumienie zamarzłe nawet w okolicach południowych, gdzie Stefania sama upadająca pod ciężarem smutku i niepokoju, usiłowała pocieszać swego starego przyjaciela.

Ciągły niepokój, spowodowany brakiem wiadomości od Jerzego, podkopywał zdrowie pana de Fleynac; straciwszy już nadzieję co do pomyślnego ukończenia wojny, jakże mógł zachować ją odnośnie do syna, wystawionego zawsze na pierwszy ogień w morderczych bitwach? Nie był to już ten człowiek czynny i energiczny, którego znaliśmy dawniej, teraz siedział zwykle smutny przy kominku, ścigając myślą armię, z którą wspólnie syn jego bił się i cierpiał.

Stefania zmieniła się także; parę razy zemdlała bez żadnego widocznego powodu; że jednak prędko odzyskiwała przytomność i nie zwracała uwagi na chwilowe osłabienie, więc nie budziło to w nikim obawy; młodość ją podtrzymywała, i jak dawniej zapominała o sobie dla innych.

Ciągłe bitwy rannymi przepełniały szpitale, rząd był zmuszony odwołać się do miłosierdzia osób prywatnych, i odpowiedziano na jego odezwę urządzeniem mnóstwa ambulansów.

Hrabia oddał na ten cel pałac la Belourde, Stefania zajęła się zaopatrzeniem go we wszelkie potrzeby. Osobiste starania około chorych, wydawanie rozporządzeń niezbędnych dla zapewnienia im wygód, skracały jej dni tak długie i ciężkie do przebycia. Prefekt starał się gorliwie aby odsyłano do la Belourde miejscowych mobilów, i pewnego dnia wśród innych ranionych znalazł się także Franciszek, ale w jakimże opłakanym stanie.

W bitwie pod Vendome kula przeszyła mu rękę, był tak wychudzony, że pozostała mu tylko skóra na kościach, a nogi miał tak spuchnięte, że nie mógł utrzymać się na nich. Trzeba było gorliwych starań i troskliwej opieki aby mógł odzyskać zdrowie.

Franciszek przywiózł hrabiemu kilka wierszy skreślonych ołówkiem przez Jerzego, który jak zwykle starał się uspokoić i pocieszyć swoich, ukrywając przed nimi własne cierpienia; wkrótce jednak Stefania dowiedziała się prawdy z ust swego ogrodnika.

— O! pani, mówił gdy opatrywała mu rękę gdyby to pani widziała nas brodzących przez cały dzień w tym śniegu topniejącym w południe a marznącym wieczorem! i w jakiem jeszcze obuwiu! po dwóch dniach nie zostawało po niem prawie znaku bo było papierowe i woda zamieniała je w papkę. Okręcaliśmy sobie nogi czem kto miał, płótnem, gałganami! Ileż to razy nasz kochany komendant szedł piechotą, a oddawał swego konia jakiemuś biedakowi któremu już trudno było utrzymać się na nogach. Prócz tego trzeba się było mieć na baczności, bo nieprzyjaciel ścigał nas zawzięcie. Przybywamy na miejsce wypoczynku upadając ze znużenia; nie ma co jeść, nie ma z czego rozpalić ogniska; omdlewamy z pragnienia, nie ma co pić prócz roztopionego śniegu, co tak szkodliwie wpływało na zdrowie. Aż tu w chwili, gdy najmniej spodziewaliśmy się tego, pif! paf! i walą się na nas Prusacy, Bawarczycy, białe kirasyjery, ułani... Bądź co bądź wolałbym tam być przy panu Jerzym, niżeli wiedzieć że on tam jest bezemnie.

Łatwo sobie wyobrazić jak dalece te naiwne zwierzenia rozdzierały serce Stefanii. Następnie znów wiele dni upłynęło bez wiadomości o nieobecnych; wzmagające się ciągle trudności w ciągu tej strasznej wojny, ogólny nieład, czyniły je prawie niemożliwemi. Armia zbliżała się do Mans, tam miały się prawdopodobnie skoncentrować siły stron obydwóch i wydać sobie stanowczą bitwę. Porównywając wojsko pruskie, daleko liczniejsze i dobrze uorganizowane, z francuzkiemi żołnierzami wycieńczonymi ciągłym marszem i głodem, a niekiedy nawet niedostatecznie uzbrojonymi, trudno się było spodziewać zwycięztwa. Tak więc wszystko rokowało nowe nieszczęścia, nasuwało najstraszniejsze myśli, niepokojąc także Stefanię. Gdy pewnego dnia wracała ze swego ambulansu do Roques, około czwartej po południu, dręczyły ją jakieś smutne przeczucia; opowiadanie Franciszka sprawiło na niej jeszcze przykrzejsze jak zwykle wrażenie; coś strasznego zdawało się unosić nad jej głową; jakiś głos odzywał się pomimowoli w jej sercu, powtarzając ciągle: Jerzy! Jerzy!

Było to tak męczące, że doszedłszy do tarasu była zmuszona oprzeć się o balustradę; tchu jej zabrakło, jakaś mgła zasłaniała jej oczy. Ocucił ją odgłos szybko zbliżających się kroków; to Sara biegła do niej.

— Szukałam właśnie pani, zawołała; pan hrabia zachorował nagle!

Stefania pobiegła natychmiast do salonu. Kilka osób otaczało pana de Fleynac, który zaczynał już odzyskiwać przytomność; po długiem zemdleniu poznał ją i twarz rozjaśniła mu się trochę. Podała mu natychmiast orzeźwiające krople, po których odzyskał przytomność.

— Jerzy! zawołał, a następnie zapytał: co się to

stało, Steniu? Czy mi się to śniło? Czy tu jest prefekt?

Pani d'Éricey dotąd wyłącznie zajęta chorym, odwróciła się z żywością przejęta niepokojem, i spostrzegła prefekta, który odsunął się na bok podczas gdy cucono hrabiego; teraz zaś przybliżył się i pociągając Stefanię za rękaw.

— Odejdźmy trochę dalej, szepnął. Powiedziałem mu to o ile było można najostrożniej; ale żądał koniecznie abym mu pokazał natychmiast uwiadomienie.

— Jakie uwiadomienie? zawołała blednąc.

— Co do pana Jerzego. Zdaje mi się że trzyma je dotąd w ręku.

Stefania, podtrzymywana jedynie siłą woli, zbliżyła się do hrabiego, który zdawał się drzemać; uklękła przy nim, wyjęła mu z ręki papier i przeczytała co następuje:

„Komendant de Fleynac ciężko ranny, znajduje się, jak zapewniają, w fermie zwanej *Rendez-vous de chasse*, niedaleko od wsi Cormé, między Mans i Alençon. Proszę uwiadomić o tem jego krewnych.

„Kapitan mobilów z...“

Głowa Stefanii opadła na poręcz fotela hrabiego.

— Moja córko! szepnął nieszczęśliwy ojciec, kładąc rękę na jej czole.

Biedna kobieta odzyskała natychmiast władzę nad sobą.

— Jestem przy tobie, szepnęła przyciskając usta do jego ręki. Odwagi, drogi przyjacielu! jeszcze nie wszystko stracone.

— Masz słuszność, odpowiedział hrabia prostując się, nic jeszcze nie stracone. Trzeba pojechać, wyszukać go i tu przewieźć... Pojadę natychmiast, Stefanio.

— Dziś już niepodobna, drogi przyjacielu, odpowiedziała Stefania; ostatni pociąg do Bordeaux już odszedł. Jutro pojedziemy oboje. Bóg dozwoli ci go znaleźć.

— Jestem już zdrów zupełnie, rzekł hrabia wstając. Czy pan Taillade już odjechał?

— Czekam na rozkazy pana hrabiego.

— Jakim sposobem odebrał pan to uwiadomienie? zapytał starzec.

— Przysłano je z ministeryum wojny, przez Bordeaux z nadmienieniem: Bardzo pilno. Przywiozłem go też sam nie spuszczając się na nikogo.

— Czy je pan odebrał dziś rano?

— Tak, panie hrabio.

— Dobrze, wyjeżdżam jutro. Dziękuję panie Taillade i żegnam pana.

Stefania namówiła swego biednego przyjaciela aby się udał na spoczynek, sama zaś zajęła się przygotowaniami do podróży. Jakże nazajutrz dziękowała Bogu że z nim pojechała! Hrabia był bardzo osłabiony; w spojrzeniu jego było coś błędnego, drzemał przez całą drogę i uskarżał się na gwałtowny ból głowy.

Stanęli przed wieczorem w Bordeaux, i udali się do znanego sobie hotelu, w którym zwykle starano się uprzedzać wszelkie ich życzenia; ale czasy zmieniły się bardzo! na spotkanie ich wyszedł jakiś chłopiec i zapytał obojętnie:

— Czego pani sobie życzy?

— Proszę o dwa pokoje sypialne i o pokój dla służącego.

— Dwa pokoje! zapewnie pani chciała powiedzieć dwa krzesła w jakim kąciku.

— Proś do mnie pani Sers, odpowiedziała zimno Stefania, sądząc, że to są jakieś niewłaściwe żarty.

Chłopiec odszedł, a w parę minut później ukazała się właścicielka hotelu, która też zaraz poznała panią d'Éricey i hrabiego.

— Cóż ja zrobię! zawołała; nie mam już najmniejszego kącika wolnego! Niektórzy panowie sypiają na stole w sali jadalnej; wiele dam, aby nie przepędzać nocy na dworze, muszą poprzestać na krzesełkach poustawianych w korytarzu. Bardzo mi przykro że nie mogę pomieścić pani, bo hrabia zdaje się bardzo znużony. Czy tylko nie chory?

— Tego się właśnie lękam, odpowiedziała pani d'Éricey; muszę mu koniecznie wynaleźć jakieś schronienie, a nie wiem gdzie go zostawić choć tymczasowo.

— Niech pan hrabia odpocznie w moim sypialnym pokoju, a pani dam przewodnika który zaprowadzi panią do innych hoteli, ale wątpię aby pani znalazła gdzie jaki pokoik.

Stefania przystała na to chętnie; hrabia nie byłby w stanie pojechać dalej, powierzyła więc opiekę nad nim wiernemu służącemu, a sama poszła szukać jakiegoś mieszkania.

Nie mogła znaleźć go nigdzie; Bordeaux stało się podobnem do przepełnionego ula. Stefania spotkała paru znajomych.

— Ja sypiam na bilardzie, powiedział jeden.

— Ja przepędzam noc na krześle, rzekł drugi.

— Nigdzie pani nie znajdzie wolnego miejsca, powtarzali wszyscy.

Odwaga i siły zaczęły już opuszczać panią d'Éricey, gdy Opatrzność dozwoliła jej spotkać jednego ze znajomych, bogatego negocyanta. Zadziwił się bardzo zobaczywszy ją o tej porze samą na ulicy.

— Napróżno szukałaby pani jakiegoś niezajętego pokoju w naszem mieście, ale ja mam obszerne mieszkanie, oboje z żoną będziemy uszczęśliwieni jeżeli pani zechce stanąć u nas.

— Nie śmiem przyjąć, odpowiedziała zmieszana. Obowiam się aby hrabia nie uległ jakiej ciężkiej chorobie; nie śmiem narzucać państwu takiego ciężaru.

Jednak ten litościwy przyjaciel prosił tak usilnie i tak serdecznie, że Stefania nie mogła odmówić, i wkrótce potem hrabia znajdował się już w wygodnym i obszernym pokoju; ale zaledwie położył się do łóżka, opanowało go jakieś zatrważające osłupienie. Przywołano natychmiast doktora który mu krew puścił, i chory odzyskał prawie zupełną przytomność umysłu; jednakże lekarz zapowiedział że potrzeba troskliwej opieki i długiego czasu, aby zupełnie odzyskał zdrowie.

Kiedy nakoniec biedna Stefania mogła odejść do swego pokoju, nie pomyślała nawet o spoczynku, ale usiadłszy przy łóżku, starała się zebrać myśli i zastanowić nad tem co miała czynić dalej.

Myśl o niebezpieczeństwie grożącem Jerzemu przemagała w niej wszelkie inne uczucia i myśli. Jakież to straszne położenie! ojciec złożony chorobą w chwili kiedy jeden dzień, może jedna godzina zwłoki, może być tak zgubną dla jego syna! Gdyby poczciwi ludzie którzy przyjęli do siebie Jerzego, zechcieli uwolnić się nakoniec od grożącego im z tego powodu niebezpieczeństwa! gdyby nieprzyjaciel grasujący w tej okolicy odkrył schronienie rannego i zabrał go w niewolę... A może i nadejdzie śmierć nieubłagana, i nie będzie przy nim nikogo, ktoby mu osłodził ostatnie chwile życia. Zimny pot wystąpił na czoło biednej kobiety.

— Nie, tak nie będzie, pomyślała; nie możemy go opuścić. Bóg mi dopomoże!

Wstała, otworzyła ostrożnie drzwi do pokoju hrabiego i skinęła na czuwającego przy nim służącego.

— Józefie, rzekła, wiem że jesteś szczerze przywiązanym do pana, możesz dać nowy tego dowód, idzie tu o ocalenie życia panu Jerzemu.

— Wszak pani wie że dla niego chętnie skoczyłbym w ogień.

— A więc jedź natychmiast do la Belourde; zdążysz jeszcze na pociąg. Powiedz Franciszkowi że mi jest potrzebny, i przywieź go tu z sobą. Wiem że stan zdrowia jego pozwala na to, i że uczyni to chętnie skoro się dowie że idzie o ocalenie życia jego komendanta. Wyjedziecie ztamtąd pociągiem który staje w Bordeaux przed wschodem słońca. Oto pieniądze na drogę, spiesz się; ja będę czuwać przy panu de Fleynac.

— Pani się bardzo zmęczy.

— Nic mi nie będzie. Śpiesz się.

Józef wyszedł a Stefania zajęła jego miejsce przy łóżku chorego, który po zażyciu lekarstwa spał spokojnie. Wyjęła z kieszeni kilka rulonów złota, jedne z nich zaszyła w pasku od sukni, inne włożyła do podróżnej torby, a następnie napisała list do nieocenionych przyjaciół którzy przyjęli ją tak gościnnie u siebie, polecając im hrabiego i uwiadamiając o powodach swego oddalenia.

Noc wydawała się bardzo długą biednej Stefanii; wiedziała że Józef i Franciszek mogą stanąć w Bordeaux około szóstej rano, dzięki rozkładowi pociągów, ale gdyby się spóźnili, gdyby jakiś nieprzewidziany wypadek nie dozwolił im przybyć w oznaczonym czasie?...

— W takim razie pojadę sama! pomyślała.

Hrabia spał spokojnie, a Stefania czuwała przy nim, drżąca, niespokojna. Nakoniec zapukano lekko do drzwi; pobiegła je otworzyć i zobaczyła Józefa.

— Franciszek czeka na dole, szepnął; na stacyi powiedziano nam że pociąg do Mans odchodzi za godzinę.

Pani d'Éricey poszła do swego pokoju, włożyła kapelusz, gęstą zasłonę i ciepłe futro, a następnie wróciła do chorego i uklękła przy łóżku. Bogu tylko wiadomo jak gorąco błagała Go aby się opiekował jej starym przyjacielem, i błogosławił jej w podróży. Podnosząc się pocałowała chorego w czoło. Poruszył się przez sen, wymawiając imię syna.

— Biedny ojcze! rzekła cicho Stefania, uczynię przynajmniej wszystko co będzie w mej mocy aby ci go powrócić.

Zabrała torbę podróżną, grube wełniane kołdry, i pożegnała skinieniem głowy płaczącego Józefa. W sieni przy schodach czekał na nią Franciszek z latarnią w ręku. Zamknął cicho drzwi domu i udali się do stacyi kolei.

Tam musieli jeszcze długo czekać na pociąg. Stefania wiedziała że tak będzie, ale chciała odejść zanim hrabia się obudzi i uniknąć spotkania z przyjaciółmi, którzy bezwątpienia staraliby się ją odwieść od spełnienia powziętego zamiaru.

— Czy czujesz się już dość silnym do zniesienia wszelkich przykrości jakie mogą nas spotkać? zapytała Franciszka.

— O! tak, pani, odpowiedział żywo. Wszakże jedziemy aby odszukać komendanta?

— Tak, i sądziłam że byłoby ci przykro gdybym wzięła z sobą kogoś innego.

Łzy zabłysnęły w oczach Franciszka.

— Czeka nas wiele niebezpieczeństw i niewygód, mówiła dalej.

— O! teraz mogę już nie zwracać na to uwagi,

odzyskałem zupełnie siły; pani tak troskliwie czuwała nademną!

Stefania kupiła bilety do Mans, kolej nie szła już dalej. Pasażerów było mało i pani d'Éricey jechała sama w wagonie. Podróż trwała cały dzień; niepokój, udręczenia moralne, odbierały jej więcej sił niżeli znużenie fizyczne; a jednak starała się usilnie oddalać od siebie straszne, trapiące ją myśli, aby jej nie pozbawiały energii tak potrzebnej obecnie.

Nakoniec, późno już w nocy przybyła do Mans; i tam także panował największy nieład: nie było wcale omnibusów ani dorożek. Stefania poszła piechotą do najbliższego hotelu, który kiedyś był urządzony bardzo porządnie, ale teraz zaczynało w nim brakować najpotrzebniejszych rzeczy. Jak w Bordeaux tak i tu miasto było przepełnione; mieszkańcy wsi okolicznych, zajętych przez prusaków, szukali w niem schronienia. Mnóstwo wieśniaków wygnanych z pod swej strzechy, oraz nowych i poszarpanych mundurów nadawały hotelowi jakiś dziwny pozór.

Pani d'Éricey nie zwracała prawie na to uwagi; zmuszona zatrzymać się na noc w hotelu chciała przynajmniej upewnić się że będzie mogła nazajutrz rano pojechać dalej, i kazała prosić do siebie właściciela hotelu.

— Chciałabym, rzekła do niego, pojechać do Mamers, a nawet do wioski leżącej o parę mil za tem miasteczkiem.

— To niepodobna, pani, prusacy plondrują w tamtych okolicach. Trzebaby przejechać najmniej czternaście mil drogi, a dyliżans nie chodzi teraz wcale.

— Jednak ja tam muszę pojechać.

— Jeżli to rzecz tak konieczna, i jeżeli pani nie będzie zważać na cenę, to może znajdę kogoś co panią zawiezie do Ferté.

— Zapłacę, ile będzie trzeba, postaraj się pan tylko abym mogła wyjechać jutro jak najraniej.

Właściciel hotelu wrócił po niejakim czasie.

— Furman czeka na dole, może pani zechce rozmówić się z nim? rzekł wchodząc.

Zaprowadził Stefanię do pokoju na dole, gdzie zastała człowieka, który za dość znaczną cenę, obiecał zawieść ją do la Ferté, odległego o jakie dziesięć mil drogi od Mans.

Nazajutrz, o piątej rano, Stefania wsiadła do starego jednokonnego powoziku, a Franciszek, otulony ciepłemi kołdrami, usiadł przy woźnicy.

Zaświtał dzień ponury i smutny nad zasłaną śniegiem ziemią; okolice mogły być wesołe i przyjemne na wiosnę lub w lecie, ale teraz szkielety drzew i poczerniałe płoty odbijały ponuro od białego tła śniegu pokrywającego pola i łąki. Stefania jednak nie zwracała na to uwagi, zajęta jedynie myślą o celu swej podróży. Czy z la Ferté będzie jej trudniej jeszcze dostać się dalej? bo nie przypuszczała nawet aby to mogło być niepodobnem, skoro postanowiła nie zważać na wszelkie niebezpieczeństwa, byle odszukać mogła Jerzego. Serce jej ściskało się boleśnie skoro myślała o swym starym przyjacielu. Jak on się teraz miewa? Jakie wrażenie sprawiła na nim wiadomość o jej odjeździe? W jakąkolwiek stronę zwracała się myślą biedna Stefania, nie znajdowała nic, coby ją uspokoić mogło. Szczęściem, że ulegając znużeniu, zdrzemnęła się w końcu, i przybywszy do la Ferté spostrzegła z zadziwieniem że przespała znaczną część drogi. Sen pokrzepił ją bardzo, i przywrócił jej energię. Udała się do oberży aby zasięgnąć potrzebnych wiadomości; była zajęta przez wojsko strzegące tego przejścia, do którego zbliżał się już nieprzyjaciel. Gdy Stefania szukała oberżysty, Franciszek spostrzegł mobilów otaczających komin; zbliżył się do nich, powiedział im kim jest, wymienił nazwisko swego komendanta, a w końcu dodał że świeżo zabliźniona rana nie dozwoliła mu jeszcze wrócić do szeregów. Koledzy, jakkolwiek z innego pułku, udzielili mu z największą chęcią wszelkich wiadomości dotyczących tej okolicy.

— Prusacy są bardzo blizko, mówili, główne ich siły znajdują się w Alençon, ale drobniejsze oddziały plondrują po okolicy. Jeźli masz zamiar udać się do Mamers, to mógłbyś łatwo spotkać się z nimi, co byłoby niebezpiecznem dla ciebie skoro należysz do mobilów z ***. Wasz pułk bił się mężnie w bitwie za Alençon, a komendant, po dzielnym oporze, został zabity czy też wzięty do niewoli.

Franciszek zadrżał, ale nie wyrzekł ani słowa; nie chciał zaprzeczyć, nie wiedząc czy jego pani życzy sobie tego.

Pani d'Éricey wróciła zrozpaczona; nie umiano jej wskazać nikogo coby chciał ją zawieźć dalej; Prusacy snuli się wszędzie, zabierając wszystko co spotykali na drodze.

— Gdyby pani chciała pomówić z tym oficerem co tam stoi, rzekł Franciszek, powtórzywszy jej zebrane przez siebie wiadomości, może on mógłby dopomódz pani.

— Masz słuszność, sprobuję.

Zbliżyła się natychmiast do jednego z mobilów.

— Czy nie mogłabym pomówić z waszym dowódzcą? zapytała uprzejmie. Wiele mi na tem zależy.

— Poproszę go natychmiast do pani, odpowiedział bardzo grzecznie; może pani zechce spocząć tymczasem.

Usiadła na stołku, który jej przysunął, nie zważając na dym z fajek i wrzawę napełniającą kuchnię oberży. Cóż ją to obchodziło? myślała tylko o tem aby mogła pojechać dalej.

W kilka minut później wszedł młody oficer, bardzo dystyngowanej powierzchowności.

— Kto się o mnie pytał? czego chce odemnie? rzekł trochę niecierpliwie.

— Chciałam prosić pana o pewne objaśnienia, jeżeli to być może, odpowiedziała Stefania, zbliżając się do niego.

Młody oficer spojrzał na nią z zadziwieniem, i zdjął prędko kepi; nie spodziewał się zastać w tej kuchni osoby tak widocznie należącej do wyższych sfer społeczeństwa.

— Niech pani raczy wejść do tego pokoju, a z prawdziwą przyjemnością spełnię jej rozkazy, rzekł otwierając drzwi do obszernej sali, w której palił się suty ogień na kominku.

Podał krzesło pani d'Éricey, która też zaraz odezwała się do niego:

— Potrzebuję koniecznie udać się do wsi Cormé, a zapewniono mnie że pan, jako mieszkaniec tej okolicy, mógłby mi udzielić potrzebnych wiadomości.

— Tak, pani; rodzice moi mieszkają niedaleko Cormé. Jest to mała wioska pod lasem, na drodze do Alençon.

— Czy pan wie, gdzie jest ferma *Rendez-vous de chasse*?

— Bezwątpienia, znajduje się ona nieco dalej, w głębi lasu. Ale pani nie może tam jechać; Prusacy zajęli okoliczne wioski.

— A jednak ja muszę się tam dostać, odpowiedziała Stefania.

— To niepodobna zaręczam pani; niedawno była tam bitwa; mobile z... bronili się zacięcie i stracili tam nawet swego komendanta.

Stefania tak zbladła, że to przeraziło młodego oficera.

— Wybacz pani, zawołał, może to...

— Jestem jego krewną, odpowiedziała; mówiono mi, że jest ciężko ranny, ale jeszcze żyje i znajduje się w tej fermie. Chciałabym go znaleźć i zabrać z sobą, jeżeli to być może.

— Jest to przedsiewzięcie bardzo niebezpieczne, i wątpię aby się dało uskutecznić. Sądzę nawet że pani nie będzie mogła pojechać dalej.

— O! niech mi pan dopomoże! zawołała; ojciec jego umiera ze zmartwienia; ja muszę mu go ocalić!

Rozdzierający wyraz jej głosu, oczy zamglone łzami, głęboki smutek malujący się w całej postawie Stefanii, wywarły silne wrażenie na młodym oficerze.

— W takim razie mogę pani udzielić jedną tylko radę. Niech pani odeśle powóz, w którym zatrzymanoby panią o parę mil dalej, a wyszukajmy jakiegoś wieśniaka wracającego w tamtą stronę. Zabierze panią do swej karjolki, co mniej zwraca uwagę, tem więcej że będzie mógł wybierać mało uczęszczane dróżki w lesie, przez które niepodobna byłoby przejechać powozem. Może tym sposobem dojedzie pani do tej fermy; Prusacy boją się zapuszczać do lasu.

— Zastosuję się chętnie do tej rady.

— Ale podróż taką karjolką w zimie i po nierównej drodze będzie bardzo przykrą.

— A cóż to znaczy! odpowiedziała Stefania; byleby tylko można było znaleźć kogoś coby chciał zabrać mnie z sobą.

— Skoro pani żąda tego koniecznie, poślę paru żołnierzy na zwiady.

Podziękowała mu z najżywszą wdzięcznością; wyszedł i powrócił wkrótce.

— Nie znaleźliśmy nikogo coby chciał zawieźć panią do Cormé, ale jest tu znany mi poczciwy wieśniak, z którym mogłaby pani pojechać do Mamers, a tam może znajdzie pani kogoś innego co nie będzie się lękał zawieźć panią dalej.

Stefania przystała na to chętnie i wróciwszy do kuchni umówiła się o cenę z wieśniakiem.

Odprawiwszy powóz którym przyjechała z Mans, udała się do stodoły gdzie wieśniak czekał na nią z karjolką. Młody oficer kazał wstawić do karjolki dwa krzesła, nakłaść słomy, wsadził do niej Stefanię i wraz z Franciszkiem otulił ją kołdrami i szalem. Wysunęła drobną rączkę, nie zapowiadającą sił odpowiednich do znoszenia podobnych niewygód, i podała ją oficerowi, który rzekł do niej cicho:

— Rodzice moi mieszkają blizko fermy do której się pani udaje; zechciej pani zezwolić abym ich prosił o udzielenie pani pomocy jeżeli znajdą do tego sposobność, i przyrzecz mi że odwołasz się do nich w razie potrzeby. Mówiąc to podał jej kartkę na której przeczytała:

„Panu i pani de la Chesnoye, w la Chesnoye, poleca Krystyan."

— Dziękuję, odpowiedziała wzruszona, nadano panu odpowiednie imię; okazałeś pan tyle współczucia dla nieznajomej!... Przyjmuję, niech pan prosi rodziców aby byli równie jak pan dobrymi dla Stefanii d'Éricey.

(d. c. n.)



N. 1. Bukiecik do sukni balowej.



N. 2. Bukiecik ozdobiony ptakiem do ryc. 1 w N. 9.



N. 3—4. Ubrania dla panienek lat 12—15.

N. 3. Sukienka formą princesse z krótkiemi rękawkami.

N. 4. Sukienka z vetement. Patrz odpowiedni przód na ryc. 9.



N. 5. Sukienka z długim stanikiem, patrz r. 10 w N. 9. Krój na ark. N. III Fig. 9—17.



N. 6. Sukienka fałdowana dla dziecka lat 2—4. Patrz ryc. 9 w N. 8.

Opis do N-ru 9.

(*Dokończenie.*)

N. 26. Zakończenie do krawatki. Haft „Duches se" robiony na materyi jedwabiem i złotem.

Ryc. 36 daje w naturalnej wielkości deseń i wskazuje sposób haftu któren robi się na materyi matowo białej albo blado paliowej, lub na surah, jedwabiem kordonkowym tego samego koloru, lub też blado niebieskim, oranżowym albo ponsowym. Dziurki nacina się, przekłuwa i obrabia jak w hafcie białym; kontury deseniu także obrobić ściegiem sznureczkowym, przy którym wewnątrz naszywa się cienki sznureczek złoty. Tło z pod pająków wyciąć ostrożnie po wykończeniu haftu.

N. 27—30 r. 44. Suknia z dworskim trenem.

Rycina 30 przedstawia suknię z trenem używanym przy uroczystych wystąpieniach u dworu. Tren robi się oddzielnie i przypina do sukni wykończonej w ten sposób żeby bez niego mogła być noszona; robić go można tylko z ciężkich materyi, jak atłas prawdziwy, aksamit albo brokat. Stanik z przodu z bawetem, z tyłu przedłużoną baskiną zakończony, musi być z tego co tren materyału, spódnica z krótkim trenem musi być odpowiednio do stanika przybrana, ażeby mogła stanowić oddzielną toaletę. Treny dworskie dla mężatek powinny mieć 350 cent. długości i całe być podszyte materją, dla panien nie więcej nad 300. Przystrojenie musi być sute i obficie kwiatami przyozdobione ażeby przy tak znacznym obszarze nikło. Obok prawdziwych koronek bogatych haftów złotem, używanesą blondyny i festony jedwabnego tiulu. Przy dworskiej toalecie na ryc. 29, tren zaokrąglony składa się z trzech zeszytych, około 45 cent. szerokich brytów atłasu, z brzegu oszytych sutą falbaną i riuszą z podwójnego jedwabnego tiulu; dalej idzie strojny garnirunek z tiulu, koronek lub blondyn, kokard i kwiatów. Ryc. 30 przedstawia gór-



N. 7. Żabot z gazy jedwabnej i koronki vermicelle.



N. 9—11. Ubrania spacerowlub domowe.

N. 9. Suknia z vetement dla młodej panienki

N. 10. Suknia z tuniką i plisowaną spódnicą.

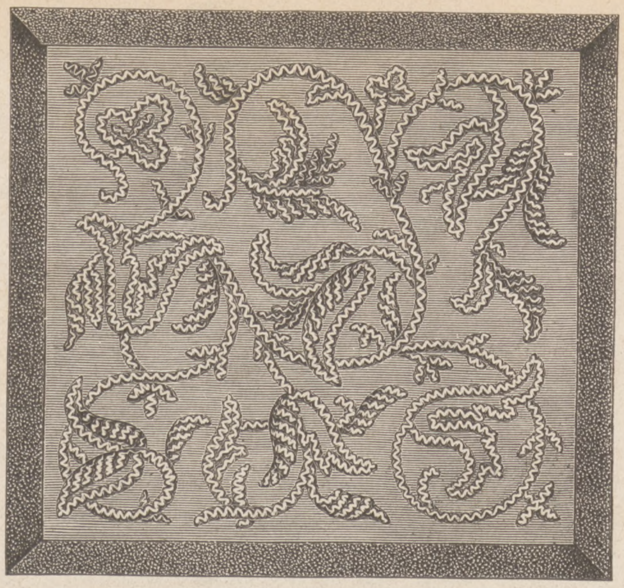
N. 11. Suknia z tuniką. Krój tuniki na ark. N. IIFig. 7—8.



N. 8. Żabot z muślinu i koronki.



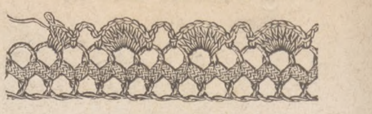
N. 12. Ząbki szydełkowe z tasiemeczką.



N. 14. Haft turecki złotem na poduszkę do kanapy.



N. 15. Woreczek pluszowy.



N. 13. Ząbki szydełkowe z tasiemeczką.

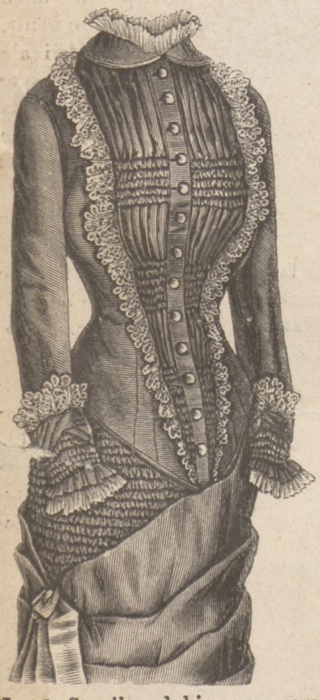


16. Woreczek Pompadour.

trenu z adamaszku blado zielonego, przerabianego złotem, służącego do sukni z gładkiego atłasu, i wskazuje sposób ułożenia fałd i wszycia w pasek. Garnirunek stanowią festony z tiulu, przepinane różnokolorowemi różami, z brzegu zakończone koronką. Inne garnirunki trenów podajemy na rycinie 27 i 28.

N. 31. Kokarda krawatowa.

Koronka przymarszczona, 8 cent. szeroka, spada na kokardy ułożone

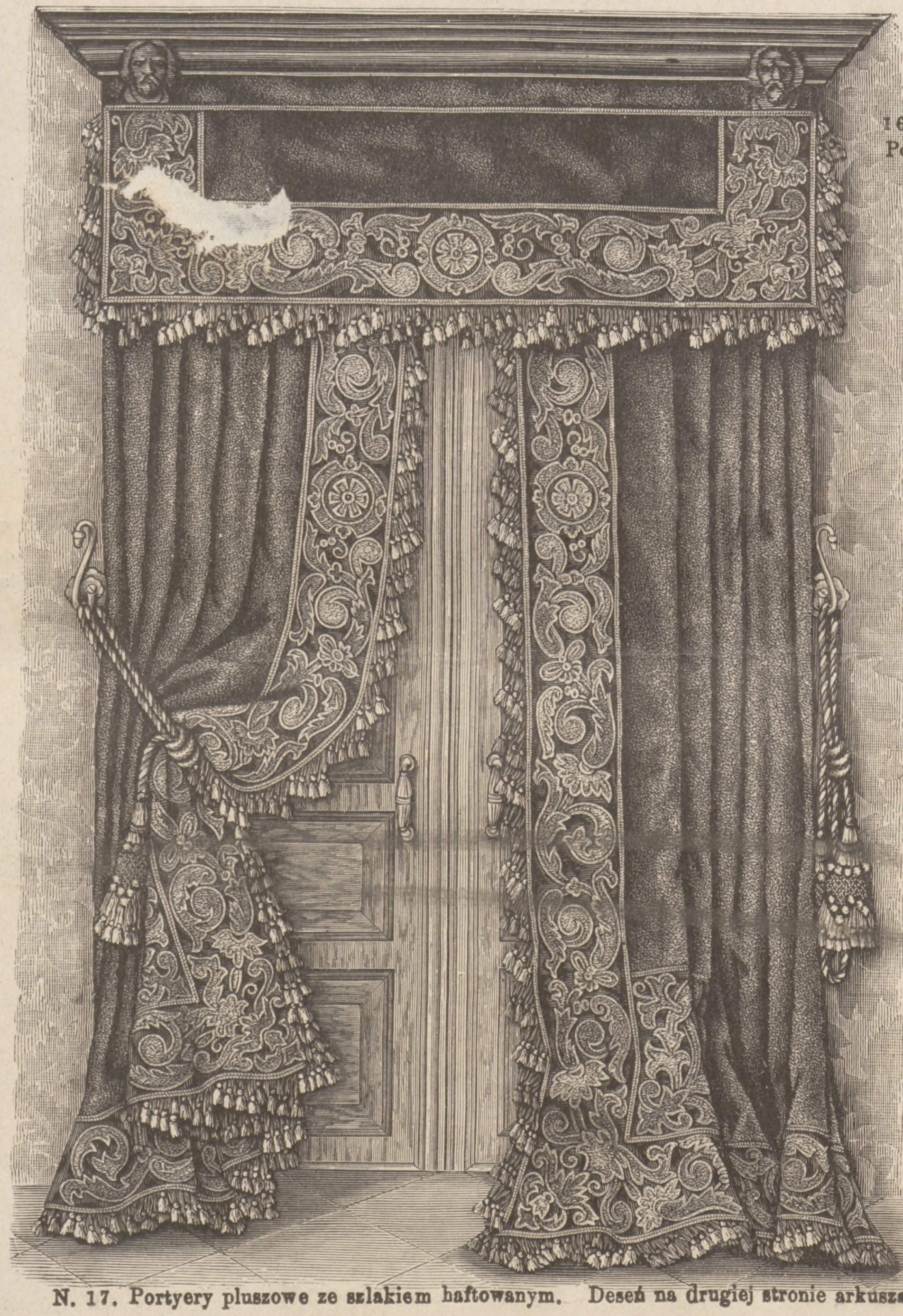


N. 18. Stanik ozdobiony przemarszczaniem. Patrz r. 19.

z 25 cent. szerokiego a 50 długiego kawałka muślinu lub surach, oraz oszyte są koronką brzegi 7 cent. szerokiego a 30 długiego kawałka z którego dane przepięcie między kokardami krótkie końce.

N. 32. Kołnierz duży płócienny. Krój Nr XVII Fig. 45.

Garnirunek stanowi przymarszczona 3--4 cent. szeroka batystowa falbanka, wydziergana w głębokie zęby, pod które podszywa się walensienkę, w 1 cent. szerokie fałdy plisowaną. W górze kołnierzyk wszyty jest w skośną 3 cent. szeroką listewkę. Krawatka 10



N. 17. Portyery pluszowe ze szlakiem haftowanym. Deseń na drugiej stronie arkusza.

cent. szeroka obrąbiona kratką wyciągniętą, związana z przodu na kokardę.

N. 33. Kołnierz tiulowy. Krój N. XIII Fig. 41.

Kołnierzyk dopasować trzeba podług formy fg. 41, z 13 oddzielnych, okrągłym zębem zakończonych części tiulu, których zeszycie pokrywa brzegiem naszyty, gruby sznur, gładko okręcony. Tiul ozdobiony być może haftem, cerowaniem lub robotą

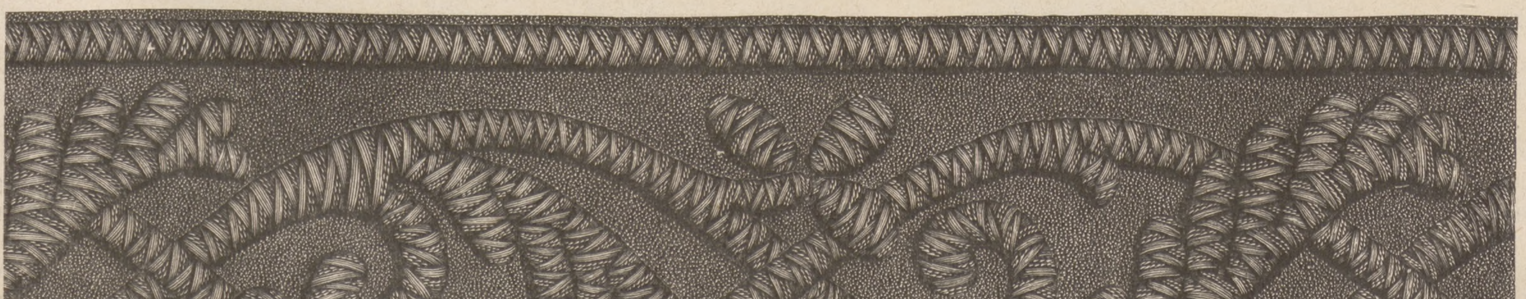


N. 19. Stanik ozdobiony przemarszczeniem. Patrz ryc. 18.

koronkową, model zdobiły owalne figury w środku zapełnione. kratką. Zęby oszyte wązką koronką, a wykrój szyi przyszyty do mocnej tasiemki, na której naszyta suta riusza tiulowa.

N. 34 i 35. Wachlarz ozdobiony haftem renaissance. Cały deseń na Fig. 52.

Na modelu haft robiony był na czarnej jedwabnej gazie czarną filozelą, ściegiem płaskim, a obwodzony podwójnie złotym sznureczkiem, przyszywanym cienkim



N. 20. Szlak do serwet, wałków, poduszek i t. p. Haft turecki złotem.



N. 21. Ząbki szydełkowe z tasiemeczką.

jedwabiem. W robocie trzeba bardzo uważać na stronę lewą która w wachlarzu bez podszewki jest widoczna. Oprawa powinna być z ciemnego szyldkretu albo z czarnego drzewa.

N. 36. Draperya szalowa do balowej albo wieczorowej sukni, deseń na ryc. 37.

Nowe piękne przybranie sukien jedwabnych gazowych lub tiulowych, stanowi draperya z tiulu grosbotowego, haftowana jedwabiem żółtawym i bia-



N. 23. Czepeczek z tiulu d'esprit.

z koronki valencienne 4 i 2 cent. szerokie i także koronki, oraz rozetowe kokardy z kolorowej atłasowej wstążki. Do grenadyny gazy lub innych lekkich kolorowych materyałów służą wstawki i koronki haftowane kolorami w maszynie, na tiulu lub gazie; do jedwabiów kolorowych można w robocie domięszać złoto.

N. 39. Suknia strojna z białego atłasu.

Górna część spódnicy



N. 22. Ząbki szydełkowe z tasiemeczką.



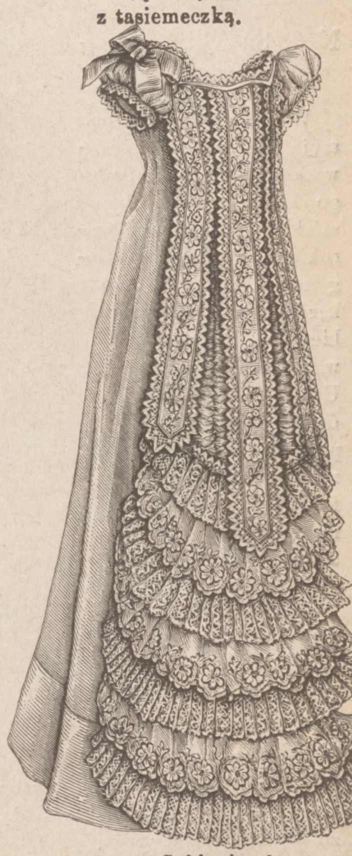
N. 24. Sukienka dla dziecka noszonego na ręku.



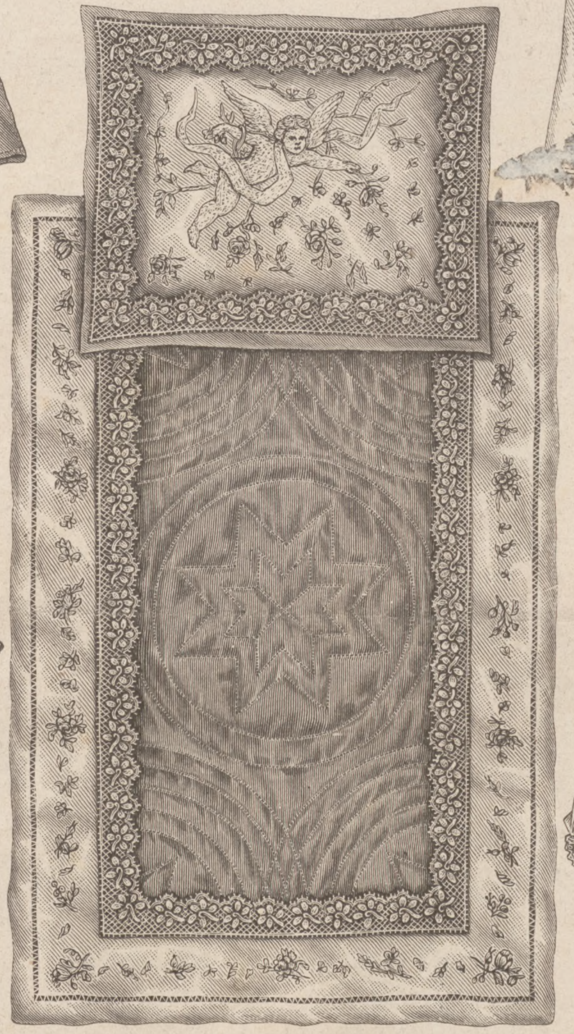
N. 27. Koszulka dla małego dziecka. Krój na arkuszu N. IV Fig. 18.



N. 29. Koszulka dla małego dziecka. Krój na arkuszu N-er V, Fig. 19--21.



N. 25. Sukienka do chrztu. Patrz r. 26. Krój na arkuszu Nr IX fig. 29-33 a.



łym, z wszytemi między haft. wstążkami lub aksamitką. Rycina 36 przedstawia draperyę mającą 110 cent. szerokości a

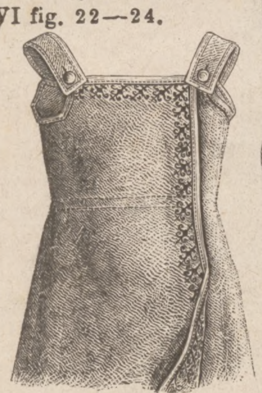


N. 31. Kaftanik dla dziecka Krój na ark. N. VI fig. 22—24.



N. 35. Rzucik haftowany do ryc 33-34.

180 długości, u dołu oszytą 16 cent. szeroką, jedwabną siepaną frendzlą.



N. 37. Sukienka flanelowa. Patrz ryc. 19 w N. 9-tym. Krój na ark. N. XI fig. 38-39.

Wstawki 7 i pół c. szerokie, pełąhaftowane podług ryc. 37, przedzielają i za kończają aksamitki 4—5 cent. szerokie. Do upięcia draperyi służą kwiaty albo kokardy, ze wstążki lub aksamitki.

N. 38—44.

Ubranie wieczorowe z białego muślinu.

Ozdobę białej wieczorowej sukni stanowią wstawki



N. 40. Poduszka do noszenia dziecka. Krój na ark. N. XVI fig. 44.

o ile jej niezapełnia draperya, jest cała w odstające bufki przemarszczona. Także bufki zdobią



N. 32. Kaftaniczek dla dziecka. Krój na ark. N. VII Fig. 25-26.



N. 36. Rzucik haftowany do ryc. 33—34.



N. 26. Sukienka do chrztu, patrz ryc. 25.

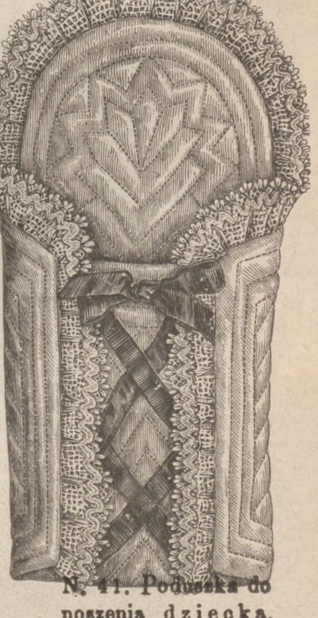


N. 28 i 29. Koszulki dla małego dziecka złożone i związane. Patrz ryc. 27 i 39.

przód stanika i dolną połowę rękawów. Jedwabne koronki 5 cent. szerokie służą do przystrojenia.



N. 38—39. Kosz z przykryciem na bieliznę dla dziecka. Patrz r. 22—23 w N. 9.



N. 41. Poduszka do noszenia dziecka. Krój na arkuszu N. XV Fig. 43.

Opis do N-ru 10.



N 42—45. Uczesanie i gałązka kwiatów do balowego ubrania.

N. 3. Sukienka princesse dla panienki lat 12.

Wycięta okrągło pod szyją i z krótkiemi rękawkami uszyta jest z białego kaszmiru i ozdobiona szlakami 10 i 4 cent. szerokiemi, wyszytemi ściegiem gobelinowym lub krzyżykowym, jedwabiem niebieskim w trzech cieniach. U dołu sukienki dane trzy wązkie plisowane i szeroka w kontra fałdy układa na falbanka, a powyżej szlak haftowany zakończony nagłówkami. Wzdłuż przodów i środkiem pleców dane są pasy zakładek zwróconych od siebie a środkiem między niemi naśladowane sznurowanie ze sznurów z kwastami.

N. 4 i 9. Suknia z vetement dla młodej panienki.

Odrobienie takie nadaje się zarówno dla młodej panienki jak i dla osoby starszej; spódnica czarna aksamitna zakończona szeroką falbaną składaną w płaskie kontrafałdy, z pod której wygląda wąziutkie plisowanie atłasowe. Vetement zapięte na dwa rzędy, z przodu gładkie z tyłu lekko podpięte, jest z granatowego sukienka, z kołnierzem i wykładami aksamitnemi, haftowanemi złotem.

N. 7—8. Dwa żaboty.

Biała jedwabna gaza w złoty rzucik i koronka vernicelle 5 cent. szeroka stanowi materyał na żabot ryc. 7; na otoczenie szyi przemarszczone z tyłu, potrzeba kawałka 35 cent. długiego a 27 szerokiego, żabot zaś upięty z trójkąta 24 cent. szerokiego w środku, oszytego koronką.

Rycina 8 przedstawia żabot upięty na podstawie ze sztywnego tiulu, złożony z koronki 8 cent. szerokiej, zszytej w róg szpiczasty podług ryciny i stanowiącej górną część żabotu. Część dolna układa się z dwóch kawałków gazy, po 33 cent. szerokich, oszytych u dołu koronką, zaplisowanych i upiętych w pukiel i dwa końce 17 i 21 cent długie.

(d. n)





N. 46. Stanik wycięty z bawetem. Patrz ryc. 47.

N. 48. Stanik bufowany do sukni wieczorowej.

N. 47. Ubranie balowe. Krój na arkuszu N. I Fig. 1—6.



N. 49. Ubranie balowe ze stanikiem bawetowym.

TYGODNK MÓD.

w Warszawie 1881 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 9 i 10.

N. I. Stanik wycięty z bawetem i krój sukni z trenem. Ryc. 46 — 47 w N-rze 10.

Fig. 1. Przód (A, B, H, J, K, *, :)
Fig. 2. Pierwszy boczek (A, B, C, D)
Fig. 3. Drugi boczek (C, D, E, F, G.) 1 założenie.
Fig. 4. Połowa pleców (E, F, G, H, I, *, × 1 i · do × 5 i · 5) 1 założenie
Fig. 5. Rękaw (K, L)

Fig. 1a—5a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 1—5.

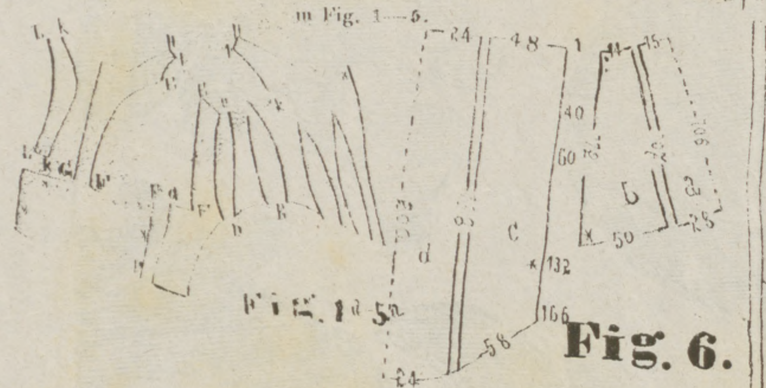


Fig. 6. Wskazanie kroju połowy sukni z draperyą i trenem *a* połowa przodu, *b* klin boczny, *c* pierwszy *d* połowa drugiego bryta trenu, *e* połowa draperyi.

N. II. Draperya i całość sukni ryc. 11 w N-rze 10.

Fig. 7. Wskazanie kroju draperyi *a* górna, *b* dolna część przednia *c* długi *d* krótki bryt tylny.
Fig. 8. Plecy sukni ryc. 11 w N-rze 10.

N. III. Kaftanik do sukienki dla dziecka lat 2—4. Ryc. 10 w N. 9 i ryc. 5 w N-rze 10.

Fig. 9. Część kamizelki (M, R, S. T. +)
Fig. 10. Przód (M, N, S, T, U, Y. Z)
Fig. 11. Boczek (M, N, O, P)
Fig. 12. Pierwsza część pleców (O, P, Q, R, T)
Fig. 13. Druga część pleców (Q. R, S, *, :)
Fig. 14. Rękaw (U, V, W, X)
Fig. 15. Wykład na rękawie (V. X)
Fig. 16. Wykład od kołnierza (Y, Z) ○ ○ ○ ○ ○
Fig. 17. Połowa kołnierza (Y, *)

N. IV. Koszulka dla maleńkiego dziecka. Rycina 27 i 28 w N-rze 10.

Fig. 18. Połowa koszulki (a, b, c, d, *, :)

N. V. Koszulka do ściągania na tasiemkę, dla maleńkiego dziecka Ryc. 29—30 w N-rze 10.

Fig. 19. Połowa stanu (e, f, g)
Fig. 20. Klinik tworzący rękawek (e, f)
Fig. 21. Ramiączko (f, g)

N. VI. Kaftaniczek dla maleńkiego dziecka. Rycina 31 w N-rze 10

Fig. 22. Połowa przodu (h, i, k, l, m)
Fig. 23. Połowa pleców (h, i, k, l)
Fig. 24. Połowa rękawka (m, n)

N. VII. Kaftaniczek z zakładkami. Rycina 32 w N-rze 10.

Fig. 25. Połowa przodu i pleców (o, p, q, r, s)
Fig. 26. Rękaw (s, t, u, v)

N. VIII. Bucik dla dziecka. Rycina 15 w N-rze 9.

Fig. 27. Połowa wierzchu (w, x, y, z, +)
Fig. 28 Połowa podeszwy (x, y, z)

N. IX. Sukienka do chrztu, Rycina 25 w N-rze 10.

Fig. 29. Połowa przodu (1, 4, 5)
Fig. 30. Boczek (1, 2, 3, 6)
Fig. 31. Połowa pleców (2, 3, 4, 5)
Fig. 32. Wskazanie kroju połowy tylnego bryta.
Fig. 33. Połowa rękawa (6, 7)

Fig. 29a—Fig. 33a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju fig. 29—31 i 33 wraz z Fig. 32.

N. X. Sukienka nocna. Rycina 17 — 18 w N-rze 9.

Fig. 34. Połowa przodów i pleców (8, 9, 10, 11, 12)
Fig. 35. Połowa karczka (9, 10, 11, 16, 12)
Fig. 36. Długi rękawek z oznaczeniem linią prostą rękawka do pasa (12, 13, 14, 15, *, :)
Fig. 37. Połowa kołnierzyka (16, 17)

N. XI. Sukienka flanelowa z przodami zachodzącemi na siebie. Rycina 19 w N-rze 9 i ryc. 37 w N-rze 10.

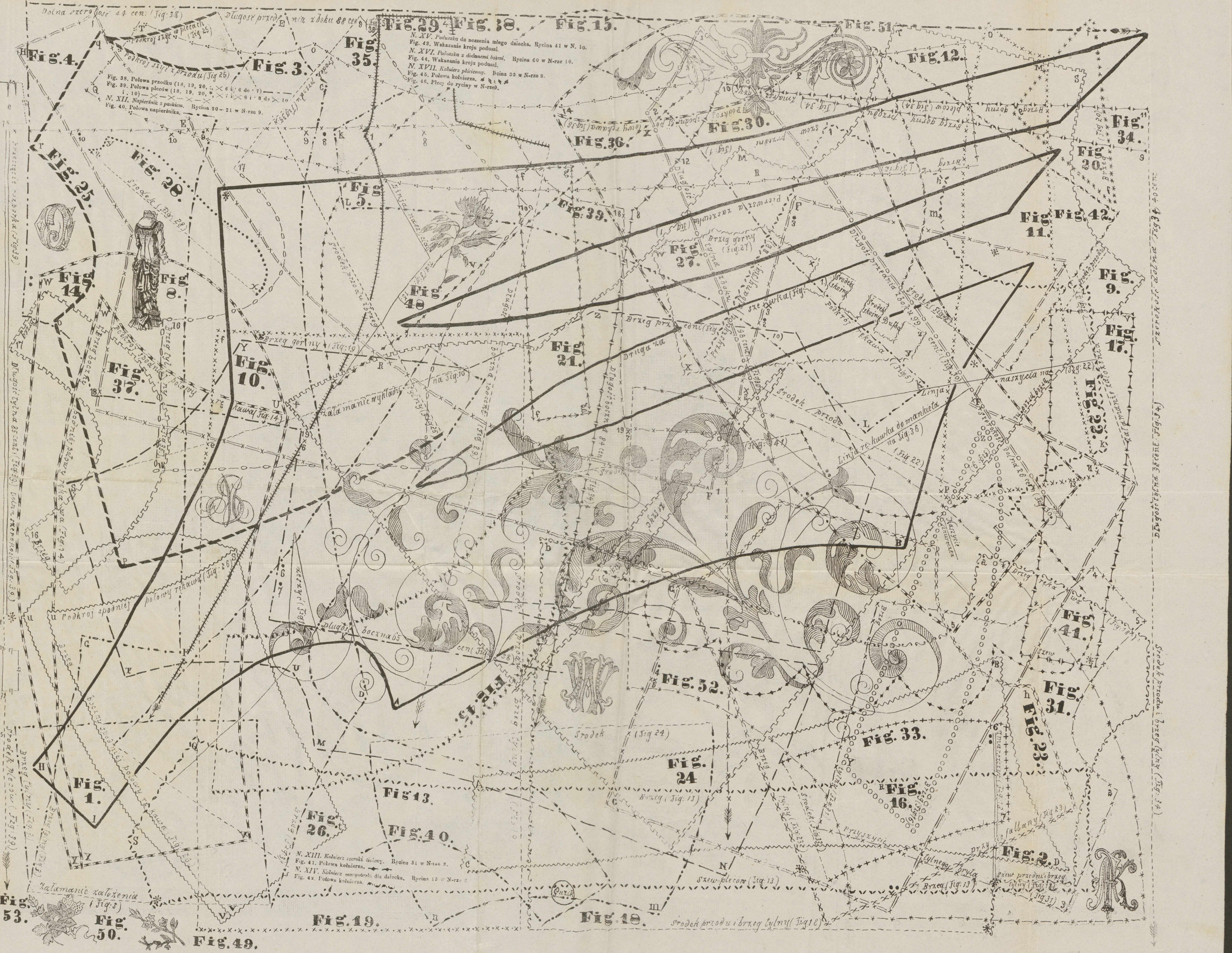


Fig. 32. Fig. 43. Fig. 44.

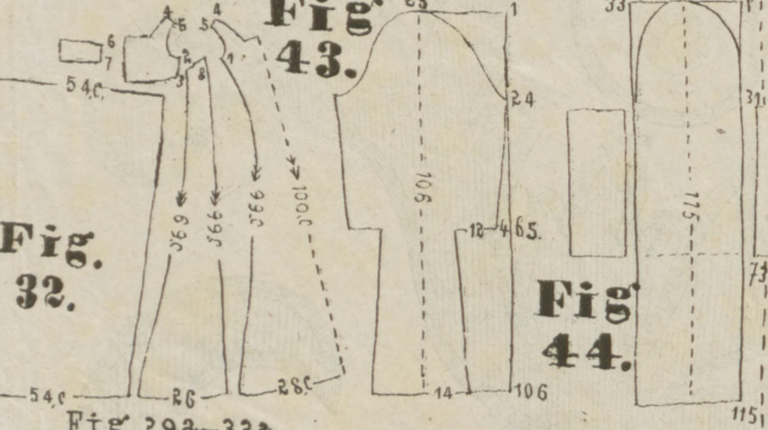


Fig. 29a—33a. Fig. 7.

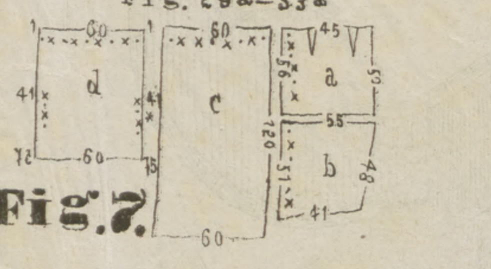


Fig. 47.

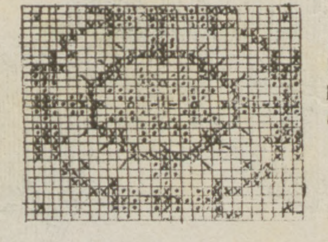


Fig. 46.

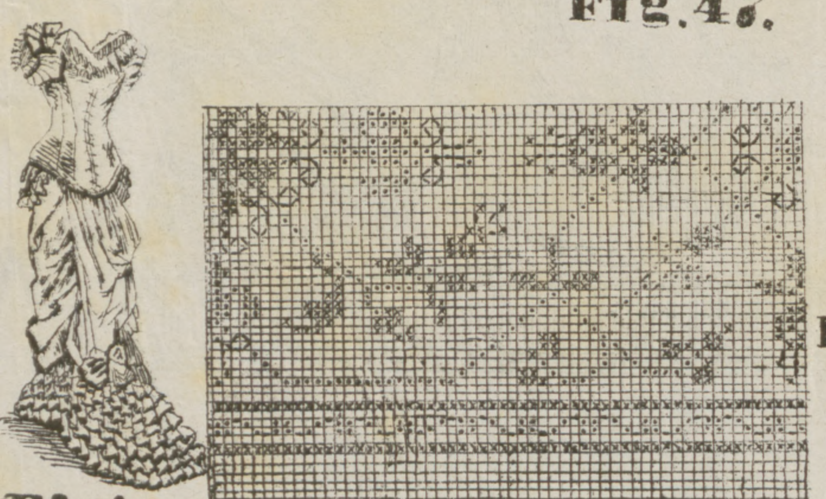


Fig. 38. Połowa przodku (18, 19, 20, :, × 6 i · 6 do · 7)
Fig. 39. Połowa pleców (18, 19, 20, *, × 7 i × 8 i · 8 do × 10 i · 10)

N. XII. Napierśnik z paskiem. Rycina 20—21 w N-rze 9.

Fig. 40. Połowa napierśnika.

N. XV. Poduszka do noszenia mlego dziecka. Rycina 41 w N. 10.

Fig. 43. Wskazanie kroju poduszl.

N. XVI. Poduszka z dodanemi bokmi. Rycina 40 w N-rze 10.

Fig. 44. Wskazanie kroju poduszl.

N. XVII. Kołnierz płócienny. Rcina 30 w N-rze 9.

Fig. 45. Połowa kołnierza.
Fig. 46. Plecy do ryciny w N-rze9.

N. XIII. Kołnierz szeroki tiulowy. Rycina 31 w N-rze 9.

Fig. 41. Połowa kołnierza.

N. XIV. Kołnierz marynarski dla dziecka. Rycina 13 w N-rze 9.

Fig. 42. Połowa kołnierza.



Desenie.

Fig. 47. Deseń krzyżykowy do ryc. 43 w N-rze 9.
Fig. 48—50. Rzucik do ryc. 33—36.
Fig. 51. Połowa deseniu do ryc. 11—13 w N-rze 9.
Fig. 52. Haft renaissance do ryc. 32—33 w N-rze 9.
Fig. 53. Deseń krzyżykowy do story. Ryc. i opis w dalszych N-rach.